



ROK LIX

Nr 40

# ROK LIX KRYNICA MIESIĄCZYK GODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIEK WARSZAWA, DNIA 2 PAŹDZIERNIKA 1926 ROKU

TREŚĆ NUMERU: Krynica łez, czy Termopyle? — *H. Ceysingerówna*. Drugie kobiece igrzyska olimpijskie — *K. Muszałówna*. Praca domowa ucznia — *T. Męczkowska*. Pierwsze dziecko... — *Z. Klingerowa*. Wiersze: „Jesień” i „Pod gwiazdami” — *Wiktoria Rymwid - Mickiewiczowa*. Jeden dzień na Maderze (kartka z higieny miłości) — *P. Mantegazza c. d.* — autor. przekł. *T. Jakubowicza*. Córka Boga (c. d.) — *Z. Zawiszanka*. W osmdziesiątą pierwszą rocznicę zgonu — *Kazimiera Ostachiewiczowa*. Dla polskich dziewcząt i dzieci — *C. Walewska*. Kobieta w świecie i w domu — *Z. B.* Z teatrów — *Z. P.* Dział praktyczny: Mody i roboty. Haft ścięgiem gobelinowym. Mody jesienne — *Well*. Polska współczesna. Od gruźlicy do pszenicy — *Stefanja Podhorska - Okołów*. Renesans polskiego pszczelnictwa — *C. r.* Metaloplastyka — *Eleonora Onichimowska*. Reforma gospodarstwa domowego — *Felicja Sachsówna*. Pomidory — *Pani Elżbieta*. Przepisy gospodarskie — *Pani Elżbieta*. Korespondencje działu praktycznego. Opis sukien i robót. Dodatek powieściowy: „Trzy Kobiety annamickie” — *C. Chivas - Bazan* (tłum. *Dr. M. Kasterska*). Arkusz wzorów.

## KRYNICA ŁEZ, CZY TERMOPYLE?



olska współczesna, jak dziecko lekko-  
myślne, bieży naprzód, nie oglądając  
się za siebie. W tym biegu zrywa  
częstokroć nić tradycji, która jak nitka  
Arjadny wieść powinna jedno poko-  
lenie narodu za drugim w ciemny la-  
birynt przyszłości.

Tak, zerwaliśmy w tej chwili nici, łączące nas  
z okresem walk o niepodległość.

Machnęliśmy po prostu ręką na to wszystko.

„Cierpiętnictwo! Łzawe, nudne!” „Dążyć nam te-  
raz do mocy i radości życia!” W tem lekceważeniu  
jest z jednej strony pewna polityczna taktyka, naka-  
zująca rzucić zasłonę zapomnienia na pewne nieprze-  
baczalne fakty, z drugiej, poprostu, nieznamość  
rzeczy, jakaś śmieszna ignorancja spraw bliskich, waż-  
nych i nieśmiertelnie pięknych.

Ta ignorancja ujawnia się nietylko u ludzi mniej  
oświeconych. Inteligencja polska i to nawet szczytowe  
jej postacie, posiadają o tym okresie dziejów naszych  
wiadomości mętne i niedokładne, nawet co do faktów,  
nie mówiąc już o ideach przewodnich, o duchu zda-  
rzeń i ich konsekwencjach.

Pracując kiedyś w pewnym zespole, w charak-  
terze kierowniczkii oświatowej, otrzymałam z bardzo  
odpowiedzialnego stanowiska pochodzący elaborat,  
z poleceniem odczytania go na uroczystości listo-  
padowej.

Czegóż tam nie było? Walki listopadowe koń-  
czyły się rzezią Pragi... Wszystko podlane oczywiście

owym sosem „cierpiętnictwa”, tak niesympatycznym  
dla pewnego typu umysłów.

Odpowiedziałam, że elukubracja ta czytana nie  
będzie, dopóki ja jestem kierowniczką oświatową in-  
stytucji.

Zdumienie było wielkie, gdy podkreśliłam histo-  
ryczne pomyłki.

Fakt ten jednak zmalął w moich oczach po prze-  
czytaniu pamiętników pewnego bardzo wybitnego,  
współczesnego polityka, który, argumentując przeciw  
biernosci społeczeństwa polskiego w różnych epokach,  
pisze dosłownie:

„W porównaniu z Targowicą były Legjony Dą-  
browskiego, a potem (?) powstanie Kościuszki zniko-  
mą mniejszością. Legjony liczyły na Napoleona, jako  
na wskrzesiciela Polski. Dopiero (!) Kościuszko, prze-  
klinany przez rządową Warszawę, wyruszył z Kra-  
kowa w bój, jako samodzielny polski wódz maleń-  
kiego polskiego wojska, w imię wyłącznie polskich  
celów wojennych”.

Tak to my znamy historję najdramatyczniejszego  
momentu naszych dziejów, historję upadku Państwa!

A dalibóg, choćby z koncertu Jankla w „Panu  
Tadeuszu”, możnaby sobie kolejność tych zdarzeń ja-  
koś uporządkować w pamięci!

I jestem pewna, że tysiące czytelników przejdą  
nad tą kartką pamiętnika bez zwrócenia na nią uwagi,  
albowiem i w ich umysłach panuje podobny histo-  
ryczny chaos. Był oczywiście Kościuszko, był jakiś  
tam Dąbrowski, Legjony i Napoleon, noc listopadowa,

rok 63, rzeź Pragi, ale co, kiedy, po czym... doprawdy tyle tego!...

Istotnie — tak wiele! Nieprzebrany skarb prometeizmu polskiego!

Krynica łez — to prawda — ale tryskająca z pod skały heroizmu polskiego, odpowiadającej skrami nieśmiertelnego buntu, ilekroć ciał w nią brzeszczot dziejów, czy miecz wroga.

A tak się jakoś składało dziwnie, że i historycy i powieściopisarze i poeci, piszący o tym okresie, ci zwłaszcza z ostatnich lat przed wojną, uwypuklali, jak gdyby rozmyślnie, momenty męczeństwa polskiego, pomijając, umniejszając i przemilczając zgoła elementy heroizmu, dzielności, nieustraszonej mocy ducha. Dziś dopiero z pod piasków, nawianych przez tę szczególną metodę, odgrzebywać trzeba najcenniejsze narodowe skarby.

Tak np. w popularnym zyciorysie Kościuszki („Kim i czym był Kościuszko“ str. 163) pisze Tadeusz Korzon o szturmie Pragi w 1794 r.: „Gdy Suworow... podzieliwszy wojska swoje na 7 kolumn, kazał ruszyć ze wszystkich stron po ciemku o godz. 3-ej z rana dn. 4 listopada, to armaty polskie nie dały ani jednego wystrzału i piechota nie zdołała zepchnąć wdzierającego się na wały nieprzyjaciela. Nastąpiła wówczas przerażająca „rzeź Pragi“.

Co za deprymujące wrażenie otrzymuje czytelnik dziełka, który może nigdy nie będzie miał sposobności dowiedzieć się o tych faktach z innego źródła! „Ani jednego wystrzału!“ I „piechota nie zdołała zepchnąć wdzierającego się nieprzyjaciela“, (!) a potem „Rzeź Pragi“. Nigdy, nigdy ów czytelnik przedwojenny dowiedzieć się nie miał, jaką treść kryły słowa: „piechota nie zdołała“ i t. d.

A teraz, proszę, weźcie w rękę Henryka Mościckiego albo zyciorys gen. Jasińskiego, wydany już w niepodległej Polsce tegoż historyka szkice, objęte ogólnym tytułem: „Pod berłem carów“ i porównajcie. Znajdziecie tam do tych słów „piechota nie zdołała“ i t. d., wyczerpujący komentarz.

Ujrzyście, jak, nakazującego rejteradę gen. Zajęcza, odprawiają oficerowie i żołnierze Jasińskiego słowami helleńskiego męstwa i pogardy. Jak z przeważającą wielokrotnie siłą wroga, toczą beznadziejny bój, odpierając uparte jego ataki, jak, podczas walki na wałach, dostają się do niewoli gen. Mayen, pułkownicy: Pałowski i Giessler, podpułk. Ludwik Kropiński 13 razy ranny. Jak za palisadami „Zwierzyńca“ (najobronniejsza pozycja na odcinku Jasińskiego) adjutantci wodza, Tadeusz Tyszkiewicz i Aleksander Pocię walecznym przykładem, krzepią żołnierzy. Jak ginie gen. Paweł Grabowski, który chociaż ciężko chory kazał się zanieść na plac boju, jak legli bohaterską śmiercią: pułkownik Węgierski na baterji, z której żadnym sposobem do ostatniego tchu życia ustąpić nie chciał, pułkownik Szymon Górski i syn jego porucznik artylerji, oraz 17-letni ochotnik Antoni Wisłocki, pułk. Walenty Kwaśniewski, podpułk. Feliks Grabowski, major Michał Suchodolec, por. Karol Berquin (francuz w służ-

bie polskiej), Ostroróg Antoni, Gronowski, zacny poseł Korsak. Ujrzyście, jak tam ginie cały żydowski pułk Berka Joselewicza, a obok niego kładą się pokotem regimenty litewskie. Jasiński posyła Tyszkiewicza z żądaniem sukursu. Lecz już za późno!... Do „Zwierzyńca“ wdarł się bataljon dowodzony przez gen. Klugena, umilkły ostatnie 4 działa, zawrzała walka na bagnety i pięści.

Tyszkiewicz, mimo otrzymanego postrzału, chce wracać do Jasińskiego. Już niepodobna — już go nie widać... Jasiński, powalony na działą, krwawiąc licznymi ranami, ostatnim wysiłkiem strzelał do atakujących go grenadierów, nie myślał się poddać. Zakłuli go, leżącego na armacie, szabla zastygła mu w dłoni...

Czyż nie widzicie, że to są ludzie Leonidasa?!... Czyż nie rozumiecie teraz, że Praga — to polskie Termopyle?!...

Na przykładzie powyższym uwydatnia się najlepiej różnica metod; ilustruje on, jak sędzę, najlepiej myśl moją, że z okresu rozbiorowego i porozbiorowego nie wydobyliśmy dotąd zawartej w nim siły tragicznej i poniechaliśmy pierwiastki dramatyczne, dla sentymentalnej łezki, z którą się o czynach Prometeuszów polskich, w ciepłym pokoju zjadaczy chleba mówiło, o ile nie mówiło się z urągawiskiem i nienawiścią.

Jestem przekonana, że wbrew panującym w tej chwili tendencjom, do tradycji walk naszych o niepodległość powrócimy i to niedługo.

Domagają się tego względy wychowawcze. Na czymże bo uczyć się ma lud nasz, młodzież nasza patriotyzmu polskiego? Czy na dziejach Bolesława Chrobrego?

Ach, daremny to trud! Za dawna to przeszłość!

Mimo największych wysiłków nie dobędzie się z tego tematu żadnych emocjonalnych momentów, a tylko drogą wzruszenia trafić można przecież do sfery uczuciowej człowieka.

Jest rzeczą doprawdy, conajmniej dziwną ta chęć wskrzeszania umarłych już dla nas istotnie epok i umarłych postaci, gdy tuż za nami niezetlałe jeszcze w mogiłach swoich trwają szczątki umęczonych za wiarę unitów, i z oczu nam jeszcze nie zeszły czcigodne postacie partyzantów 63 roku, i żywą jeszcze z opowiadań mamy tradycję emisariuszów, sybiraków, tułaczy, kantonistów, entuzjastów wolności krwią swą broczących zarówno wąwozy Sycylji, jak puszczy węgierskie i bory Mazowsza, europejczyków, braterstwo ludów nie frazesem kongresowym pieczętujących, a ofiarą życia!

Przedziwnie barwny i rozmaitym wyrazem psychicznym nacechowany jest ten tłum duchów, wstający przed naszymi oczami, gdy potracić o strunę przeszłości... Ułani Grochowa, piechota Ostrołęki, a potem tułacza polskiego kij pielgrzymi i wielki rozgwar idei wśród emigracyjnego społeczeństwa od komunizmu, do towianizmu — duch polski szuka drogi prawdy i wyjścia z niewoli.

A jeszcze dawniej złota epopeja napoleońska i skok w Elsterę—niby rewanż za Targowicę. A jeszcze dawniej... Wielki Sejm... Bar..., kopalnie nieprzebrane motywów artystycznych „literackich! byle wczuć się w nie, wczuć i zrozumieć!

Ale poza tem, że to jest źródło nieprzebrane piękności, epoka ta jest przecie matką rodzoną terażniejszości naszej. Współczesne nasze życie tkwi w niej wszystkimi swemi korzeniami. Kto najdoskonalej nie zna kalejdoskopu przemian politycznych, społecznych, administracyjnych, gospodarczych, prawnych i t. d., jakie się na rozszarpanych terytorjach Polski w owym czasie dokonywały, ten nie powinien być urzędnikiem współczesnego Państwa polskiego.

Niestety!..

Iluz błędów, iluz bezsensów i niesprawiedliwości

źródłem jest ta właśnie ignorancja, ilu zadrażnień międzydzielnicowych powodem, ilu oburzających zarządzeń pierwszą przyczyną!

Na miły Bóg, zrozumieć przecie trzeba, że każdy kamień wyrwany z bruku, każda ruina, każde niedomaganie nasze, każdy brak i niedostatek mają swoją długą historję, sięgającą najczęściej początkiem swym w okres rządów zaborczych. Podobnie, wiele objawów dodatnich we wszystkich dzielnicach mają źródło swoje w tym oporze, który społeczeństwo polskie przemocy zaborców w ten, czy inny sposób stawiało.

Splątane węzły wszystkich tych spraw trzeba najpierw poznać dokładnie, nim się je ślepem cięciem rozerwać ośmieli.

Ale do tych ostatnich spraw powrócimy jeszcze, by szczegółowiej z niemi się rozprawić. *H. Ceysingerówna*

## DRUGIE KOBIECE IGRZYSKA OLIMPIJSKIE

Przed czterema laty stadjon Pershinga w Paryżu był świadkiem sensacyjnego wówczas wydarzenia sportowego. Na stadjonie tym bowiem rozegrane zostały pierwsze w historii nowoczesnego sportu olimpijskie igrzyska kobiece.

Nazwa, a do pewnego stopnia i treść igrzysk tych zaczerpnięte zostały z wzorów starożytnych. W starej Helladzie bowiem, gdzie wychowanie fizyczne dziewcząt stało dość wysoko, urządzone były raz na cztery lata wielkie zawody sportowe dla wszystkich pań w Grecji, uprawiających biegi, skoki i rzuty, a więc ćwiczenia objęte dziś wspólną nazwą lekkiej-atletyki. Owe zawody zwane były „Herajadami“ od imienia bogini Hery, na cześć której były święcone.

Kiedy w czasach nowoczesnych odżyło hasło starożytnych odrodzenia fizycznego, pod znakiem jego w odrębnych organizacjach, w innych nieco formach i warunkach, pracować zaczęły i kobiety całego świata. Pierwsze wspaniałe próby — nabrały wkrótce mocnych rumieńców życia, pierwsze chwiejne kroki szybko przeszły w zdecydowany rytm postępu. Pomiedzy temi, które dociągały się wytrwale do coraz lepszych wyników, rozpętał się wkrótce żar walki o doskonałość. Poczęto więc stwarzać kryterja, poczęto kształtować formy, w które z najlepszym dla przyszłości pożytkiem wlaćby można było owe zapędy stawiania czynów sportowych.

Oczywiście — pierwszą próbą przeprowadzenia konkurencji, sklasyfikowania zawodniczek z punktu widzenia wartości osiągniętych przez nie wyników, były wewnętrzne (w ramach jednego klubu), oraz międzyklubowe na terenie danego miasta zawody. Wkrótce powstają zawody międzymiastowe, dalej zawody ogólnopństwowe o mistrzostwa danego państwa, a wreszcie międzynarodowe.

Ponieważ z pośród spotkań międzynarodowych — największemi i najbardziej doniosłymi są igrzyska olimpijskie, przeto lekko-atletki pukały długo i wytrwale do zamkniętych drzwi Międzynarodowego Komitetu Olimpijskiego. Pukały długo i wytrwale, lecz daremnie. Komitet do dnia — że tak powiemy — wczorajszego trzymał w rękach tabliczkę z nieubłaganym na-

pisem „Wstęp dla lekko-atletek na ogólne igrzyska olimpijskie wzbroniony“.

Sprzyskrzyło się lekko-atletkom daremne kołatanie do zamkniętych drzwi. Znalazły inne wejście, wejście, które prowadziło do własnych, kobiecych igrzysk olimpijskich.

Kiedy pierwsze kobiece igrzyska olimpijskie — naprzekór wszelkim krakaniom, odbyły się w Paryżu przed 4 lata — sukces ich okazał się niezmierny. Niezmierny pod dwoma względami: meeting był bardzo licznie obesłany, doskonale zorganizowany, pod każdym względem, oraz świetny w wynikach tak indywidualnych jak zbiorowych. Jednocześnie — meeting ten dał inne, przez nikogo nieprzewidywane skutki. Kiedy bowiem w roku bieżącym zbliżał się termin drugich kobiecych igrzysk olimpijskich — Międzynarodowy Komitet Olimpijski zaenuncjował na cały świat, że lekko-atletki zostaną dopuszczone do najbliższych ogólnych igrzysk olimpijskich.

Nareszcie — wygrały więc lekko-atletki swą walną bitwę z Międzynarodowym Komitetem Olimpijskim. Nareszcie — zamiast podwójnych Igrzysk Olimpijskich, mieć będziemy tylko jedno ich wydanie raz na cztery lata, obejmujące naprawdę wszystkich sportsmen'ów i sportswomen świata bez żadnych ograniczeń. Zyska na tem niewątpliwie autorytet tej wielkiej instytucji sportowej o dużych wartościach społeczno-politycznych, jaką są Igrzyska Olimpijskie.

Wszakże — w wyniku powyższego — nazwa „kobiecych igrzysk olimpijskich“ przestaje istnieć. Rezygnując jednak z samej nazwy, twórczynie kobiecych igrzysk olimpijskich nie rezygnują bynajmniej z instytucji, którą do życia powołały z tak doskonałym skutkiem dla rozwoju sportu pań. Owe wielkie międzynarodowe zawody kobiece pozostaną tedy i nadal, jako największe kryterjum doskonałości sportowej w płaszczyźnie konkurencji międzynarodowej, tylko nazwa ich brzmieć będzie inaczej. Oficjalnie zwane będą one odtąd „Światowemi igrzyskami kobiecemi“.

Pod tą ostatnią nazwą z dodatkiem „II-gie“ odbyły się w dniach 28—30 sierpnia b. r. w Goeteborgu (Szwecja) wielkie międzynarodowe zawody kobiece,

Dla nas zawody te posiadają tem większe znaczenie, że udział w nich brały również dość licznie lekko-atletki polskie, dla których zawody te stanowiły pierwszą wielką próbę sił na terenie międzynarodowym.

Udział w drugich światowych igrzyskach kobiecych zadeklarowały i przyjęły reprezentantki krajów następujących: Anglii, Francji, Belgji, Czechosłowacji, Polski, Szwecji, Łotwy i Japonji.

Wielką triumfatorką Igrzysk tych była jedyna reprezentantka krainy zachodzącego słońca, p-na Hitomi. Stawała ona do bardzo wielu konkurencyj i zdołała sama jedna zdobyć dla swego kraju 15 punktów, zapewniając Japonji w ogólnej klasyfikacji piąte miejsce przed Polską, którą reprezentowało 7 zawodniczek.

Drugą, choć w mniejszym stopniu, triumfatorką igrzysk światowych była rodaczka nasza, p. Halina Konopacka. Jej wyłączną zosługą jest zdobycie przez Polskę 7 punktów i 6-go miejsca w ogólnej klasyfikacji. Pozostałe zawodniczki nasze Woynarowska, Jabłczyńska, Czajkowska, Grabicka, Sadkowska i Taborowiczówna pomimo wysiłku ani jednego punktu zdobyć nie zdołały.

Warto pozatem nadmienić, że w gronie zawodniczek angielskich znajdowała się znana pilotka angielska, miss Elliott Lynn, która zdobyła w rzucie oszczepem czwarte miejsce.

Wyniki w poszczególnych konkurencjach:

Bieg na 60 mtr.: I serja: 1) Thompson (Angl.), 2) Hitomi (Japonja), 3) Smolova (Czechy), 4) Plancke (Fr.). II serja: 1) Radideau (Fr.), 2) Grabicka, 3) Sindberg (Szwecja), 4) Van Waelen (Belgia). III serja: 1) Haynes (Anglja), 2) Sychrova (Czechy), 3) Stawe (Szwecja).

Do finału wchodzić dwie pierwsze zawodniczki z każdej serji:

Finał biegu na 60 mtr. 1) Radideau 7 s.  $\frac{4}{5}$ , 2) Haynes, 3) Thompson, 4) Smolova, 5) Hitomi, 6) Grabicka.

Bieg na 100 jardów: I serja: 1) Radideau, 2) Johanson (Szw.), 3) Grabicka. II serja: 1) Thompson, 2) Sychrova, 3) Plancke, 4) Jacobsson (Szw.). III serja: 1) Hitomi, 2) Haynes, 3) Wojnarowska, 4) Chmisovska (Łotwa.).

Finał biegu na 100 jardów: 1) Radideau 11 s.  $\frac{4}{5}$ , 2) Thompson, 3) Hitomi, 4) Haynes, 5) Sychrova, 6) Plancke.

Bieg na 250 mtr. Serja I: 1) Radideau, 2) Chmisovska, 3) Czajkowska. Serja II: 1) Edwards, 2) Plancke, 2) Kucerova (Czechy). III serja: 1) Palmer (Angl.), 2) Hitomi, 3) Gallemaers (Belgia). Finał: 1) Edwards, ustanawiając nowy rekord świata w 33 sek.  $\frac{2}{5}$ , 2) Palmer, 3) Radideau, 4) Plancke, 5) Chmisovska, 6) Hitomi.

Bieg na 100 jardów przez płotki. 1) Sychrova (Czechy), 2) White (Anglja) 3) Laloz (Francja).

Bieg na 1000 mtr. 1) Trikey (Anglja) 3 m. 8 s.  $\frac{4}{5}$ , 2) Gentzel (Szwecja), 3) Bellon (Francja).

Sztafeta — 110 jardów x 4. Pierwsze miejsce zdobywa sztafeta Anglii w 49 sek.  $\frac{4}{5}$  ustanawiając nowy rekord świata. — Drugie miejsce — Francja, 3) Szwecja, 4) Czechy.

Skok w dal z miejsca: 1) Hitomi — 2 mtr. 49, 2) Smolova, 3) Hollidary, 4) Birkenough (obie angielski).

Skok w dal z rozbiegiem: 1) Hitomi 5 mtr. 50 — nowy rekord światowy, 2) Gunn (Anglja), 3) Smolova.

Skok wżwyż: 1) Bonz (Fr.) 1 m. 50, 2) Hait (Angl.), 3) Sterens. Szóste miejsce zajmuje p. Taborowiczówna skokiem 1 mtr. 40, lepszym o 2 cmt. od rekordu polskiego.

Rzut dyskiem. 1) Halina Konopacka 37 mtr. 71, nowy rekord światowy, 2) Hitomi, 3) Svenson (Szwecja).

Rzut kulą oburącz. 1) Hidlakova (Czechy) 19 m. 54, 2) Svenson, 3) Konopacka — 19 mtr. 225.

Rzut oszczepem oburącz: 1) Adelskold (Szwecja) 49 mtr. 15, 2) Faurett (Anglja), 3) Haglund (Szwecja).

W ogólnej klasyfikacji pierwsze miejsce zdobyła Anglja z 50-ma punktami, 2) Francja — 27 pkt., 3) Szwecja — 20 pkt., 4) Czechosłowacja — 19 pkt., 5) Japonja — 15 pkt., 6) Polska — 7 pkt., 7) Łotwa — 1 pkt.

Poza p. Konopacką — reszta zawodniczek naszych nie miała na igrzyskach wiele do powiedzenia wobec znacznie lepszej klasy cudzoziemek. Temniemniej wszakże miarą tego, jak wiele starań przykładały nasze lekko-atletki na igrzyskach, może być fakt, że bardzo wiele rekordów Polski zostało poprawionych. I tak: p. Konopacka — w dysku i w kuli, p. Taborowiczówna w skoku wżwyż (1 mtr. 40), p. Sadkowska w skoku w dal — 4 m. 77, p. Czajkowska w biegu na 250 mtr. — 36 sek.  $\frac{3}{5}$ .

Omawiając w ogólnych rysach powyższe wyniki, stwierdzimy najpierw, że pierwszemi miejscami w konkurencjach posiliły się reprezentantki aż 6-ciu państw. Jedynie Łotwa — nie zdobyła ani jednego pierwszego miejsca.

Organizacja zawodów była doskonała. Zawodniczki karne i lojalne, co wywoływało zachwyt nawet wśród sędziów.

Poszczególne punkty programu igrzysk rozgrywane były z całą zaciętością. Walka rozgrywała się między zawodniczkami, z których każda wkładała maksimum swych sił dla osiągnięcia zwycięstwa.

Panna Konopacka dzięki swym świetnym wynikom rozślawiła imię Polski na cały świat. Wszystkie zagraniczne pisma sportowe i pisma codzienne z zachwytem piszą o jej wielkim talencie. Nagroda, jaką odznaczono ją, wspaniała plakieta ofiarowana przez ministra Francji w Sztokholmie, jest dowodem wielkości jej indywidualnego wyniku.

Pozostałe zawodniczki polskie niewątpliwie dobrze skorzystają z lekcji, jaką otrzymały na igrzyskach, co niezadługo zapewne udowodnią nam wynikami.

K. Muszałówna.



TEODORA MĘCZKOWSKA

## PRACA DOMOWA UCZNIĄ

Pedagog, patrzący uważnie na rozwój szkolnictwa średniego, musi, niewątpliwie, przyznać, że w ciągu kilku lat ostatnich zaszły poważne i korzystne zmiany w metodach nauczania i technice prowadzenia lekcji w klasie. Znakomita większość nauczycieli zrozumiała, że nauczanie opiera się na współpracy nauczyciela z uczniem, na dążeniu do kształcenia i rozwijania inteligencji i urabianiu charakteru. Dzięki tym poglądom dydaktycznym, uczeń przestał w szkole „obkuwać się“, natomiast zaczął myśleć i pracować samodzielnie na lekcji, w pracowni, w bibliotece, na wycieczce. Ta czynna rola sprawiła, że stosunek ucznia do szkoły zmienił się, zainteresowanie wzrosło, a co najważniejsze, zmniejszyła się znakomicie nuda, panująca na lekcjach. Dziś zdarza się spotkać uczniów, dążących z pogodą, a nawet zadowoleniem do szkoły, a są i tacy, którzy istotnie interesują się tym lub innym przedmiotem nauczania.

Pomimo tych poważnych i korzystnych zmian, nauczyciele o czujniejszej wrażliwości pedagogicznej, bardziej do młodzieży zbliżeni i może więcej z nią zżyci, stwierdzają niejednokrotnie, że ogólnie biorąc, stan rzeczy nie jest zadowalający, że względnie do wysiłków, na jakie zdobywają się nauczyciele, suma otrzymanych rezultatów nie jest ani jakościowo, ani ilościowo odpowiednią. Innymi słowy, stwierdzają oni, że względnie do tego, co szkoła daje, uczeń wykazuje za mało samodzielności i wyrobienia zarówno pod względem umysłowym, jak i pod względem charakteru.

Ponieważ pogląd ten nie jest pozbawiony słuszności, należy zastanowić się nad nim, postawić sobie wprost pytanie, dlaczego pomimo ulepszonych metod nauczania, doskonalszej techniki, pomimo stosowania racjonalnych zasad dydaktycznych, ogólny poziom naukowy młodzieży szkolnej nie podnosi się w stopniu, w jakim spodziewaćby się tego należało; dlaczego pomimo zaprawiania do pracy samodzielnej w szkole, samodzielność w życiu i poczucie odpowiedzialności bynajmniej się nie wzmacnia?

Nie trzeba chyba zastrzegać się, że wyczerpująca i wszechstronna odpowiedź na powyższe postawione pytanie mogłaby być dana dopiero po rozpatrzeniu społeczno-psychologicznej strony tego zagadnienia, zrozumiała jest bowiem rzeczą, że na wytworzenie się powyższych wymienionych zjawisk wpłynęły i wpływają czynniki różnorodne, związane z jednej strony ze sprawą zdemokratyzowania szkoły średniej, z drugiej zaś z atmosferą moralną, wytworzoną specjalnymi warunkami powojennymi.

Niezależnie od tych czynników natury dość złożonej, znajdujących się w pewnej mierze poza sferą bezpośrednich naszych wpływów, istnieją, moim zdaniem, powody natury czysto pedagogicznej, które znakomicie zmniejszają wydajność pracy ucznia i paczą jej zasadniczy charakter. Mam tu na myśli pracę domową ucznia, dalszy ciąg jego pracy w szkole.

Jeżeli w zakresie nauczania szkolnego udało się przeprowadzić korzystne reformy w myśl współczesnych poglądów dydaktycznych, to w zakresie uczenia się w domu, czyli t. zw. przygotowania, odrabiania lekcji na dzień następny nie zrobiono dotąd prawie nic: tu panują jeszcze wszechwładnie stare obyczaje i dawny stosunek do pracy, wsku-

tek czego między nauczaniem w klasie, a uczeniem się w domu wytwarza się jakby przepaść. Uczeń, którego pracą w czasie lekcji kieruje nauczyciel, pozostawiony sam sobie w domu, nie wie zupełnie, co czynić należy, uświadamia sobie jedynie, że przygotowanie lekcji na dzień następny nastęrcza poważne trudności, że w podręczniku nie można znaleźć tego, „co mówił nauczyciel“ i że wogóle niezupełnie dobrze wiadomo, o co właściwie chodzi, bo uczeń nie zdaje sobie sprawy z głównej treści lekcji. Oto tło, na którym rozpoczynają się kłopoty ucznia, zabierające się do odrabiania lekcji na dzień następny.

Nie trudno przewidzieć, wynika to z istoty rzeczy, że kłopotami temi musi zainteresować się najbliższe otoczenie ucznia, o ile znajduje się na tym poziomie kultur, że jest w możności opanowania spraw tej kategorii. W przeciwnym razie uczeń zmuszony jest udawać się o pomoc do kolegów, lub też zjawiać się do szkoły z lekcjami nieodrobionymi. I chociaż pomoc zorganizowana w postaci tak rozpowszechnionych dawniej korepetycji, jest dziś, wskutek warunków ekonomicznych, znacznie mniej stosowana, jednakże wszelkie inne odmiany tej pomocy: korzystanie z pracy kolegów, przepisywanie zadań matematycznych, dyktowanie ich przez telefon, odrabianie ćwiczeń, zadań z braćmi, ojcami, ciotkami należy do rzeczy zwykłych, niemal koniecznych, o ile uczeń ma otrzymać oceny dostateczne i corocznie promocję do następnej klasy. Znane są i takie wypadki, kiedy sama szkoła organizuje dla tej, czy innej klasy lekcje pomocnicze z pewnych przedmiotów. Ma to miejsce wówczas, gdy poziom naukowy klasy z danego przedmiotu jest niski, lub gdy część uczniów nie odpowiada stawianym wymaganiom, albo też, gdy nauczyciel nie zajmuje się całą klasą, lecz jedynie wybitniejszymi jednostkami. Ta forma pomocy o charakterze lekcji pomocniczych, może nawet w pewnych razach pożądana i pożyteczna, jest bądź co bądź jeszcze jednym dowodem, że uczeń nie umie pracować samodzielnie, że te wskazówki, które mu daje szkoła, nie są wystarczające, by pracą oprzeć na racjonalnych podstawach.

Dla stwierdzenia słuszności tego poglądu, wystarczyłoby przeglądać systematycznie przez pewien dłuższy okres czasu zeszyty uczniów z poszczególnych przedmiotów. Obserwacje, poczynione tą drogą, byłyby dowodem, że znaczna część uczniów nie pracuje samodzielnie, że często w zadaniach matematycznych, ćwiczeniach stylistycznych u kilku uczniów bieg pracy jest identyczny, że kiedyindziej ten sam błąd matematyczny lub gramatyczny, niczym nieusprawiedliwiony, powtarza się wielokrotnie. A dzieje się tak dlatego, że zadanie zrobione przez dobrego ucznia, korepetytora lub może starszego członka rodziny, zostaje przez innych uczniów przepisane i figuruje, jako własna praca. Jeżeli cała klasa oznajmia nauczycielowi, że zadania odrobić nie mogła, to znaczy, że i owe siły pomocnicze dla tych, czy innych powodów nie mogły służyć pomocą, w przeciwnym razie, jeżeli jeden uczeń ma zadanie zrobione, inni z jego pracy korzystają, „klasa“ zadanie odrobiła. To samo stosuje się w pewnej mierze i do innych prac domowych. Ponieważ o dosłownym przepisywaniu wypracowań na ten, czy inny temat, nie może być mowy, ponieważ ćwiczenia z zakresu gramatyki, czy

stylistyki nie mogą być identycznie takie same u kilku osobników, przeto metoda pracy jest tu nieco inna, bardziej złożona: uczniowie mniej uzdolnieni pożyczają zeszyty uczniów dobrych, rozczytują się w ćwiczeniu, zapożyczają główne myśli, które następnie ubierają w nieco odmienną formę. Znam wypadek, kiedy za takie przerobione ćwiczenie uczeń otrzymał ocenę wyższą, niż autor właściwy.

Wreszcie, gdy chodzi o ćwiczenia z gramatyki lub stylistyki przeprowadza się pewne niewielkie zmiany, konieczne dla zatarcia śladów niesamodzielnego myślenia.

Mojem zdaniem, liczba uczniów, pracujących zupełnie samodzielnie, t. j. takich, którzy w domu nie korzystają z pomocy otoczenia, nie biorą korepetycji stałych, nie przepisują od kolegów zadań, ćwiczeń i t. p. jest mała, tak mała, że upoważnia do wniosku, że stan rzeczy nie może być uznany za normalny i wymaga istotnie skierowania uwagi pedagogów na tę stronę życia umysłowego młodzieży.

Dla ilustracji przytoczę dane, zaczerpnięte z kilku dobrych gimnazjów w Warszawie<sup>1)</sup>. W szkołach tych potrzebowało pomocy: (patrz. tabelkę).

Wobec takich danych i wobec faktów, które nastroją codzienna obserwacja, niepodobna nie wnikać

w klasie	z języka polskiego	z języka francuskiego	z języka niemieckiego	z matematyki	z łaciny
VIII	—	8,3%	—	50 %	16 %
VII	10,5%	25 %	12,5%	52 %	36 %
VI	32,1%	20 %	7,5%	60,7%	5 %
V	7,4%	18,5%	14,8%	18,5%	14,8%
IV	50 %	15,4%	48 %	50 %	12 %
III	22,2%	40,7%	5,3%	81 %	—
II	15,5%	37,7%	—	46 %	—
I	51,5%	—	—	46,4%	—
VIII	—	16 %	—	54,1 %	8,3 %
VII	23 %	—	15,3 %	37,5 %	7,6 %
VI	—	—	39,1 %	50 %	13 %
V	25 %	17,1%	6,25 %	64,3 %	34,3 %
IV	48 %	32,6%	2,2 %	60 %	4,3 %
III	48,2%	42,1%	37,9 %	42,1 %	—
II	23,6%	20,9%	—	11,6 %	—
I	2,2%	—	—	13,5 %	—
VII	—	—	—	—	—
VI	—	—	16,9 %	21,6 %	—
V	—	15,6 %	39,4 %	62,5 %	11,1 %
IV	23,6 %	33,3 %	5,2 %	17,3 %	5,5 %
III	21,8 %	50 %	—	17,2 %	—
II	—	23,6 %	—	15,7 %	—
I	41,6 %	—	—	30,5 %	—

nać w istotę sprawy i nie zapytać o przyczyny, powodujące tak bardzo niepożądany, może w pewnej mierze, anormalny, stan rzeczy. Powtarzam jeszcze raz, że z licznych, o różnorodnym charakterze przyczyn, postarałam się wyliczyć i podkreślić jedynie te, które nie wykraczają poza ramy zagadnień pedagogicznych i jako takie wiążą się ściśle z organizacją nauczania i życia szkolnego w ogóle.

Całokształt tych przyczyn można ująć w dwie grupy: Do pierwszej zaliczam te przyczyny, które pozostają w bezpośrednim związku i są jakby naturalnym wynikiem obecnych metod nauczania, a zwłaszcza sposobu zadawania lekcji na dzień następny; do drugiej te, które wynikają ze złej organizacji pracy ucznia w domu „dla szkoły“ i złego stosunku najbliższego otoczenia ucznia i samego ucznia do pracy, mającej na celu przygotowanie lekcji na dzień następny.

(c. d. n.)

<sup>1)</sup> Dane zaczerpnięte z odpowiedzi na ankietę w roku szk. 1923/24, złożoną z czterech pytań:

<sup>1)</sup> Kto pomaga Ci w odrabianiu lekcji?

<sup>2)</sup> Z jakich przedmiotów potrzebna Ci pomoc?

<sup>3)</sup> Z których przedmiotów nie potrzebujesz pomocy?

<sup>4)</sup> Ile czasu potrzebujesz na odrabianie lekcji?

## PIERWSZE DZIECKO...



bę małą. Radość i lęk — w myślach. Ostrożnie trzeba chodzić, nie podnosić rąk do góry, dużo powietrza, pięknych widoków, spokój itd. — tak mówią kobiety doświadczone. Och, one bacznie przyglądają się twojej twarzy, kolorowi cery i zmatowieniu oczu, zmieniającej się postaci — i snują prognozy. Ta

ci mówi, jak to było, kiedy jej się miał urodzić syn, a ta — jak nosiła w łonie córkę.

Wypytuja się przyciszonym głosem, śmieją się i obliczają mozolnie — kiedy przyjdzie twój dzień. Jesteś rozdrażniona. Wpadłaś w jakąś ciemną pułapkę! Coś straszliwego ma się z tobą dziać, jakieś męczeńskie widowisko. Stać się musi nieodwołalnie, już nie uciekniesz, niema siły na świecie, któraby cię mogła od tego uchronić, chyba śmierć! Śmierć? — Ach, nie, chcesz żyć bardziej, niż kiedykolwiek! Z dna duszy powstaje nienasycona ciekawość — jakie będzie o moje dziecko?

Marzysz. Przed oczami wyrastają ci, jak kwiaty na łące, rozkoszne główki dziecięce z niebiańskim uśmiechem. Po nocach śniesz dziwnie. Z zaświatów wychylają się ku tobie jakieś oczy tajemnicze, jakby pytały, czy wzywasz je dla swego dziecka, to znowu różowe ciała dziecięce tulą się do twego boku, tak ciepło, tak rozkosznie, że budzisz się zalana łzami szczęścia...

Należy iść do lekarza, a nawet stale być pod jego opieką. Nieprzyjemne. Co taki obcy pan — myślisz sobie — może wiedzieć o tajemnicy mego ciała. Każę ci robić to i tamto, a jeśli jest naprawdę doświadczonym lekarzem, — to się ogranicza tylko do zakazów. Natura przez ciebie przemawia tak samo. Już czujesz swój przyspieszony oddech przy wchodzeniu na schody zwłaszcza, chętnie odpoczywasz, nie znosisz mocnych zapachów itd.

Zmieniłaś się. Aż wreszcie pewnego dnia stało się coś niesłychanego, zupełnie ci nieznanego! Poczulaś ruchy dziecka. Dziwne, niezapomniane uczucie!

Płaczesz cicho i radośnie i ogarnia cię wielka powaga.

Jestem matką — myślisz — daję życie pokoleniu, w nieskończoność idącemu. Wpadłaś w zadumę jakiegoś wielkiego przełomu w życiu. Przekraczasz linię. Czujesz niemal, jak spływa ci na barki jakiś beczenny ciężar — ciężar odpowiedzialności! Twoje otoczenie widzi tylko, jak się zmienia twój wygląd zewnętrzny, ale ty czujesz, jak dusza staje się inna. Ciało także ci już od tej chwili nie daje spokoju. Dzień i noc nasłuchujesz co ono tam robi? śmiejesz się pobłaźliwie, gdy cię kopnie pod zebro, albo przewróci się razem z tobą na bok we śnie. Ludzie mówią o swoich sprawach, śpieszą, załatwiając jakieś ważne interesy, toczy się gdzieś jakaś polityka gorączkowa. Dla ciebie to wszystko jest dalekie, we mgle. Tobie się nie śpieszy do tamtego świata, masz swój, tuż pod sercem. I nawet cię to nie dziwi. Dopiero potem, potem, gdy otrząsniesz się z tego okresu Natury Rodzącej, zrozumiesz, dlaczego tak było.

Owoc dojrzewa, za chwilę spadnie. Ogarnia cię niepokój. Zbliża się chwila straszna, nieznana. Drżysz w wewnętrznym lęku, wbrew rozumowi, który mówi, że wszak tyle kobiet rodzi, że to jest normalne, naturalne zjawisko itd. Boisz się śmierci. Cóż z tego, że się z ciebie śmieją, że ci dowodzą „na podstawie statystyki“, — że to niemożliwe — ty się boisz śmierci. O cierpieniach nie myślisz, jeszcze ich wcale nie znasz. Gorączkowo przerzucasz książki medyczne, „Lekarkę domową“ i ciskasz ją drżąca. Te ohydne obrazki! Masz być objektem takiej krwawej operacji? Za nic!

Twój egoizm, instynkt samozachowawczy stacza ostatni bój, zanim spełnisz pierwszą ofiarę matki.

Dotąd nie czułaś ciężaru. Codziennie mądra natura dorzucała ci trochę do dzwigania, tak stopniowo, żeś tego nie spostrzegała, a teraz jest już za ciężko.

Zda się, że ten tajemniczy ciężar, zawierający żywe — nieznane, lada chwila przeważy równowagę twego ciała, oberwie się na więzadłach swoich i spadnie. Więc dajesz za wygraną, nie bronisz się więcej przeciw myśli o cierpieniach — wyzwolenia! Gorączkowo czekasz na znak, jak skazaniec na wykonanie wyroku! Już! Nie — omyliłaś się. Przestałaś widzieć wogóle świat i masz wrazenie, że puls życia zatrzymał się także w naprężonym oczekiwaniu chwili swoich wyzwolin. Jesteś zniciertpliwiona i stremowana, jak artysta przed ukazaniem się na estradzie. Znów fałszywy alarm! Ach, żeby już prędzej!

I wreszcie pewnego dnia chwytają cię siły potężne w swe kleszcze, objawił ci się najmniejszy pan świata — ból. Do tej chwili nie znałaś go wcale. Odtąd będziesz wiedziała, za jaką cenę kupiłaś nowe życie. W twoim sercu zrodzi się nowa nić — fizyczne współczucie dla cierpień ludzkich. Znasz najgłębszy akord tej skali i znasz niewysłowny czar ulgi po męce. Radosne łązy dokonania... Toniesz w nich, jak święta w ekstazie. Serce twoje rozplętnęło się w bezbrzeżnym rozczuleniu dla tej maleńkiej, w niebogłose krzyczącej istoty! Nic nie miałaś dotąd na świecie. Wszystko przepływało obok ciebie, a to jest twoja najistotniejsza własność. Tam leży twoje drgające serce.

Nie pali cię ciekawość, ta ciekawość z przed kilku miesięcy — jak wygląda. To nie ma znaczenia. Spojrzałaś raz nowem, bacznie, wszystkowiedzącym okiem matki, pozdrowiłaś pokornym pocałunkiem duszy — i niech leży, niech śpi zmęczone maleństwo.

\* \* \*

L-a, l-a, l-a, l-a, lejl! płacze srebrzysty, wąty głosik. To nie płacz, to najcudniejszy śpiew nowonarodzonego po pierwszym śnie na ziemi.

Młoda matka słuca zachwycona. Dotąd nie było na świecie dziecka, któreby tak pięknie płakało. Tak, dotąd płacz dzieci był dla niej jednym z tysiąca obojętnych głosów świata zewnętrznego. Teraz ten płacz płacze w niej. Rozdwoiła się — jest sobą dawną i jest tem dzieciątkiem w poduszce.

Lekarz przeciął sznur między nią a nim, ale ten fizyczny związek istnieje dalej — niewidzialny. Dlatego taką rozkosz sprawiają jej usteczka, czerpiące pokarm z jej piersi, bo wtedy jest najbliżej, niemal tak, jak było dotąd — strumień w źródle. Dlatego nie lęka się wcale, że mogłaby spać i nie słyszeć, jak jemu coś dolega.

Te dwa serca biją razem, jak jedno. Matka czuwa nad dzieckiem. Nikt ją tego nie uczył i wytrysnęło to z niej, jak iskra Boża. Znużenie takie stało się czemś nowem. Dawniej znużenie było przykre, wrogie, pobudzało do smutku, albo gniewu, teraz — zmęczona zabiegami koło dziecka, uśmiecha się łagodnie i z wdzięcznością. Błogosławiony trud! A przecież nie płynie to z wyrozumowanego obowiązku! Nie! — to jest matkom tylko znany cudowny spłot rozkoszy fizycznej z duchową. Zetknięcie cielesne z własnym dzieckiem — to najszlachetniejsza, najgłębsza rozkosz, jakiej kobieta może zaznać.

Dziecko dla matki jest nietylko tem, czem kwiat i owoc dla drzewa, jest także najciekawszą, najukochańszą z tajemnic bytu! Odtąd przez wszystkie dni swego życia będzie w nie patrzyła, jak w swoją duszę, odnajdując siebie, wcielony swój ideał, choć nieraz tak daleki od ideału! Jeśli nawet brutalne siły życia, czy podstępne moce dziedziczności będą krzywiły i paczyły ten ideał, ona, bolejąc nad tem w najtajniejszym zakątku serca, wszystko będzie rozumiała i uniewinniała, jak żaden inny człowiek. Będzie to czyniła z miłości macierzyńskiej, — na mocy prawa — krew z krwi, kość z kości! Jeśli dotąd nie znała siły żywiołu, teraz jest mu podwładna na wieki. Cichy, niezwalczony żywioł — miłość macierzyńska. Teraz dopiero kobieta znalazła właściwą miarę dla oceny miłości do mężczyzny. Przedtem, gdy nie miała jeszcze dziecka, zetknawszy się ze „swym“ mężczyzną, wpadła w namiętność miłosną. Była naprzemian rozkosznie pijana i wzniosłe uduchowiona, szczęśliwa i rozpaczająca.

Targała nią jakaś siła natury, jak burza. Lecz burza zniknęła, uciszyło się i oto zrodził się najcudowniejszy błękit — dziecko. A miłość jej do mężczyzny, do ojca — to tęcza przymierza.

Powiadacie — a przecież kobiety-matki rozwodzą się? Tak, przychodzi na nie nowa burza, której nie mają siły oprzeć się. Szukają w ciemności. A jeśli ojcem ich następnego dziecka będzie inny mężczyzna, czy przez to zmieni się istota macierzyństwa? Mądrzej, lub głupiej chować swoje dziecko — oto zmiany, jakim może podlegać matka i tego tylko może się nauczyć od ludzi, ale tlejący żar miłości do dziecka — to jej indywidualna cecha, to to, na co stać jej serce głupie, czy mądre. Dlatego kobieta nie zna jeszcze siebie, choćby nie wiem jak pracował jej intelekt, dopóki nie ma dziecka. To jest próba ogniowa jej istoty. Wszystko, co było nieistotne, co służyło do kokietowania życia, do rzekomo właściwej drogi, do przywabienia mężczyzny — spala się w tym ogniu. Jeśli porzuciwszy pieluszki razem ze swem dzieckiem, bierze je na barki i wraca na dawną drogę ochotnie i radośnie — to szła dobrze, nie myliła się. Jeśli niema już dla niej dawnej drogi — to dziecko maleńkim paluszkami wskaże jej nową, dla niej właściwą.

Z. Klingerowa.

WIKTORJA RYMWID-MICKIEWICZOWA.

## J E S I E Ń

## I.

Ach, można wiele cierpieć i konać w rozpacz,  
 przejść bardzo trudne życie, zajrzeć w oczy śmierci  
 i nie wiedzieć dlaczego, co to wszystko znaczy?  
 Aż kiedyś — leżąc cicho na złocistej stercie,  
 okrytej ciemnym płaszczem jesiennego nieba,  
 patrząc w dal rozwartemi szeroko oczyma,  
 zrozumieć nagle, że tak właśnie trzeba  
 i że życie jest piękne — i że śmierci niema.

## II.

Tyle się już zmieniło, tyle jeszcze zmieni.  
 Trwa tylko dzień jesienny, i astry więdnące,  
 i czuby wielkich klonów maczane w czerwieni,  
 i w alejach i ścieżkach liście szeleszczące.  
 Wczesna jesień zakuwa w złociste obręcze  
 jesiony, lipy, graby — późno słońce wschodzi.  
 Jestem smutna i chora i wszystko mnie męczy.  
 Czekam na list zdaleka, który nie przychodzi.

## III.

Krzyczy czerwienią drzew zielona ściana,  
 codzien się zmienia, opada i gore,  
 coraz płcierniej, szerzej malowana.  
 Jesienne kwiaty są jakgdyby chore,  
 jesienne pola są jakgdyby szersze,  
 jesienne niebo jest jakgdyby niższe.  
 Coraz smutniejsze są jesiennie wiersze,  
 jesiennie słowa miększe wciąż i cichsze.

## IV.

Odpocznę cicho w smutku od szczęścia i wiosny  
 i lata. Zmierzch dziś taki smutny jest i senny.  
 Noc będzie bardzo długa, świt bardzo żalony,  
 powoli wlec się będzie szary dzień jesienny.  
 Zamknę się wszystko w duszy, przysypię złociście  
 ulewą suchych liści, pod śniegiem ukryje...  
 Aż dnia pewnego małe szmaragdowe liście  
 krzykną w słońcu wiosennem radośnie — że żyje!

## P O D G W I A Z D A M I

Niedobrze jest mówić o tem, trudno opisać wierszami:  
 każdy z nas jest samotny. Wszyscy jesteśmy sami.

We dnie się o tem nie myśli. Mówi się, śpieszy, pracuje.  
 I pod gwiazdami jedynie wie się, rozumie i czuje.

Nikt nie pomoże, nie zmieni, nikt tego nie wytłumaczy,  
 dlaczego jesteśmy samotni, co nasze cierpienie znaczy.

Dlaczego wszyscy są obcy i każdy jest sam dla siebie,  
 dlaczego straszno na ziemi i mroczno w dalekiem niebie.

Wszyscy jesteśmy samotni. Jest tylko Pan Bóg nad nami.  
 Módlmy się cicho do Niego pod płonącemi gwiazdami.





PAOLO MANTEGAZZA

# JEDEN DZIEŃ NA MADERZE

(KARTKA Z HIGJENY MIŁOŚCI)

Wiem to: Pani żałowałaś, lub zlekłaś się swego uścisku... Wstałaś, mówiąc, że powietrze nocne dokuca Ci, i, obudziwszy nagle ciotkę, udałaś się do swej kajuty. Wszystko to trwało chwilę, zdawało mi się, że śnię, nie wiem, czy odpowiedziałem na Twe oschłe i zimne: *D o b r a n o c M r. W i l i a m*. Pamiętam tylko, że pozostałem sam, pełen niechęci do siebie; drząc, jak dziecko, miałem świadomość, że jest Bogiem i robakiem zarazem. Połowa mej duszy wydawała radosny okrzyk, podczas gdy druga, znękana i bezsilna, głośniejsze jeszcze krzyczała: jesteś najnędniejszą i najniebezpieczniejszą istotą na świecie!

Od tego wieczora przepaść rozdzieliła nas, miss Emmo. Pani unikałaś mnie i, nie poprzestając na nagłej zmianie miejsca przechadzki, domu, gdzie bywałaś, nie chciałaś widzieć nawet mego wzroku, który szukał cię ciągle, błagając o jałmużnę jednego spojrzenia. I czemu uściśniesz mi, Pani, rękę, jeśli owa szczęśliwość miała sprawdzić mi tyle cierpienia? I co jest w Tobie silniejsze od serca? Czemuż to i w jaki sposób duszę Twą zamieszkują dwa genjusze, z których jeden błogosławi, drugi zaś — przeklina? Dlaczego dręczysz mnie tak bardzo? Czyż nie wiesz, co to jest cierpienie? Czyż nie wiesz, że żyję tylko dlatego, że dręczy mnie i podnieca myśl okrutna, że i Ty, Pani, cierpisz i przeklinasz coś lub kogoś, stojącego między nami? Tak, z dniem każdym spoglądam i widzę, z okrutną radością: stajesz się coraz bledszą, i często czytam na Twym obliczu — z rozkoszą mordercy — ślady łez przelanych w nocnej ciszy. Nie śpisz i płaczesz, tak jak ja płaczę, jak i ja — nie śpię. Ta dzika radość trzyma mnie przy życiu, ta rozkosz okrutna hamuje mój rozsądek, który usiłuje co chwila przebić sklepienie mej czaszki wybuchem szału i pożarem rozpaczny.

Kochałem Cię, Pani, w milczeniu, kochałem Cię tak bardzo, iż na myśl, że możesz kiedy zostać moją, drżało mi serce, ogarniał mnie lęk. Nie czułem się ciebie godny, pragnąłem Cię ubóstwiać, pragnąłem otoczyć powoli atmosferą, będącą emanacją mego serca. Nie wiesz, Pani, jak się zmieniłem, jak głęboką czyniłem analizę swego charakteru, by stać się Ciebie godny. Gdziekolwiek znajdowałem słabość lub zmazę, niszczyłem je ogniem i żelazem, kładąc tam wzamian Twe imię, Twój boski wizerunek i moją ku Tobie miłość. Usiłowałem być doskonały, by móc powiedzieć drżącymi ustami, lecz z otwartym czołem: Emmo, chcę być Twoim, daj mi swą rękę, bądźmy godni siebie wzajem.

Dzień ten nie był jeszcze nadszedł. Dostrzegałem w oddali, pośród mgieł na widnokręgu, świtanie owego dnia, owej godziny czarownej! I gorące pragnienie i jakiś lęk nienazwany dawał mi odwagę oczekiwania, bowiem w głębi drogi dalekiej dostrzegałem swoją Emmę. Ach, Emmo, miss Emmo, Pani rozumie mnie z pewnością i czuje w tej chwili to, co ja czuję!

Lecz Pani zniszczyłaś czar, zburzyłaś do cna przybytek, w którym pragnąłem umieścić swego Boga, okrutnymi dłońmi wyrwałaś z pośród róż gniazdko, gdzie miała spocząć nasza miłość, i zdeptałaś je, zmiażdżyłaś nogami. A ja odrzuciłem precz kij pielgrzymi, z którym wędrowałem do swej Mekki, krzycząc, jak osaczony przez zbójów podróźny, który po długich latach trudu i znoju wracał do ojczyzny ze skrzętnie na-

gromadzonym skarbem. Tak, miss Emmo, stałem się brutalny. Zjawiłem się u pani ciotki, prosząc o Twoją rękę, jak o rękę pierwszej lepszej osoby, jak gdybym i ja, doszedłszy do wieku statecznego, zdecydował się na małżeństwo. Poprosiłem o Pani rękę, na zawsze, zanim dowiedziałem się, czyś na pokładzie *T h y n e ' u* uściśnęłaś dłoń moją przez roztargnienie, czy z miłości. Zapukałem do bram Raju, domagając się, że złotem w rękach, aby mi otworzono i zezwolono wejść. Nie zdołałem nigdy przebaczyć sobie owej brutalności, postępuku człowieka zrozpaczonego.

A czy wiesz, Pani, co mi odparła Twoja ciotka? — Przybrawszy twarz swoją w powagę, bardzo zmieszana, ledwie mogła chwycić oddech i znaleźć odpowiedź; potem zaś rzekła mi nieśmiało następujące słowa: Niech pan zwróci się do Emmy, Ona jest bardzo rozsądna i ona jedynie może w tych sprawach stanowić. Jej życzenia są też mojemu... A mówiąc to spoglądała, jak mi się zdawało, współczująco, — tkliwie i współczująco.

I oto jestem tu u Twoich stóp, jak skazaniec, co po długotrwałej ciemnicy, niesłusznie odcierpianej, złamany na duchu i wstrząsany beznadzieją, oczekuje słowa, mającego przywrócić mu życie...

Oto jestem tu, miss Emmo, upokorzony, że prosił w ten sposób o Pani rękę, że pisałem to, co jeno oczy nasze winny były wypowiedzieć, i że postąpiłem brutalnie, niewłaściwie, niogodnie Pani i siebie. Widzę świątynię swą zburzoną, a siebie, złupionego i zniesławionego, pośród ruin i pustki; niedawno król nad króle, musiałem błagać o chleb jałmużny pierwszego przechodnia... A prosiłem o chleb ten Ciebie, królowo moja, bóstwo mego nieba...

Emma do Williama

Londyn, 12 stycznia 18...

Jest mi nad wyraz boleśnie, że muszę odpowiedzieć na pański list i zapewne uwierzy pan słowom biednej istoty, bardzo nieszczęśliwej i słabej, która jednak nigdy nie kłamała.

Długo płakałam przed napisaniem tego listu, Lecz ja nie mogę zostać pańską żoną, panie Williamie, nie mogę być czyjąkolwiek żoną. Nie pytaj mnie pan o powody, ciekawością swą nie potęguj mego bólu. Zapomnij pan o mnie: posiadasz młodość, zasoby fizyczne i umysłowe, skieruj wspaniałe bogactwa swej duszy ku uszczęśliwieniu istoty, mogącej odpowiedzieć na pańskie uczucie. Bóg jest łaskawy, znajdziesz na świecie niejedną piękną i godną siebie kobietę. Uczyni ją szczęśliwą i dumną.

A przedewszystkiem zapomnij pan o mnie, błagam cię o to przez pamięć na mego ojca.

William do Emmy

Londyn 13 stycznia 18...

Nie, miss Emmo, ja nie zapomnę o Pani, nie pójdę rzucić swej chustki pomiędzy córę Ewy. Jest jedna tylko dla mnie na świecie kobieta: Pani, i jeden tylko sposób bycia: wraz z Tobą.

Czemu nie masz odwagi powiedzieć, że mnie nie kochasz? Miałbym odwagę umrzeć, lecz Ty, Pani, mnie kochasz i wypowiadasz mi to w swym liście sto razy. Miłość Twoją czytam w każdym słowie, w każdym znaku, jaki Twe pióro uczyniło na tej

okrutnej ćwiartce papieru. Nie będziesz niczyją, ale też nie będziesz i moją. Czyż nie pojmujesz, Pani, że jest to tortura okrutniejsza od najwymyślniejszych męk inkwizycji? Że niema na nią ratunku, a rozpacz i szaleństwo są jej owocem?

Jakaż otacza Cię tajemnica? Jakież zły duch stanął między nami? Któż to jest ów silniejszy od nas? Kto śmie w milczeniu mordować i niszczyć naszą niewinną miłość? I głosić swą nad nią przemoc? Czemu nie powiedziałaś Pani, że mnie nienawidzisz? Nie uwierzyłbym Ci, być może, pomyślałbym, że mnie kochałaś, lecz że inna miłość, potężniejsza zatarła potem tamtą. Nie, i w to nawet nie byłbym uwierzył. Ale czemu przynajmniej nie próbowałaś odjąć mi nadziei i życia — zarazem? Kto Pani daje prawo zawieszać mnie między niebem, a ziemią, bym stopami tkwił w otchłani, a głową dotykał raj? Kto dał Ci nagle władzę mordercy i kata?

O, miss Emmo, miej litość nad tym, co Cię tak bardzo kocha, co płacze, jak dziecko... Ale i Ty mnie kochasz!

William do Emmy

Londyn, 15 stycznia 18...

Czemu Pani milczy, miss Emmo? Czemu jesteś tak okrutna? Zabij mnie raczej odrazu; drż w sercu mojem każda fibra, łkają wszystkie czucia, a cała dusza jednym jest bólem. Nigdybym nie uwierzył, że człowiek może tyle cierpieć i cierpieniu sprostać. Miał słuszność Byron, mówiąc, że cierpienie to poło-wa jego nieśmiertelności.

Nasyć się głód, radość się nasyć, ustanie trud i spocznie myśl, śpi już i pycha, i chciwość, i duch, ból jeno nie zasypia, nie spoczywa i nigdy niesyty odradza się, niby ów feniks, z własnych popiołów. A gdy już nie stało nerwów, ból zmienia postać, a męka trwa ciągle, okrutniejsza i coraz to inna. Czuję, jak wślad za zębami, co mnie kąsały, zatapiają się we mnie jakieś szpony, a potem chwytają rozpacz, po rozpacz — gorycz, po niej zwątpienie, a potem znowu ból i męka, wampir, ssący krew serdeczną, koszmar straszliwego snu. A przedemną ciągle otchłań bezdenna, bezkresna, czarna i wieczna, mroźna i nieubłagana.

Ach, miss Emmo, nie cierpiał nigdy ten, co ośmielił się szydzić z religii.

A Pani jesteś w tej katowni katem. I Ty jedna na świecie, która mnie rozumiesz, potrafisz pojąć, jak wielkie jest moje cierpienie. W osobie mojej zadajesz ból nie jednemu człowiekowi, lecz dwóm pokoleniom ludzi... wiesz o tem. Miłość spoiła we mnie dwie rasy, dwa przeznaczenia, dwa światy. Matka moja była Włoszką, ojciec — Anglikiem; nigdy natura nie stworzyła istot bardziej sobie dalekich i różnych, a miłość, ten najpotężniejszy z alchemików, dokonała cudu zespolenia ich w jedno, i ja czuję w sobie dwie istoty, dwa światy myśli i czuć, radości i bólów. Czuję każdej chwili w sobie Wezuwjust i mgłę Londynu, i Ty, Pani, uśmiechając się, nazywałaś mnie nieraz wulkanem, lub mgłą, gdy odzywał się naprzemian Włoch albo Anglik. Nigdy nie czułem silniej niż w tym czasie, co to być dwoistym człowiekiem. Gorące zmysły i wyobraźnia, co płonie, zapalają mnie z szybkością błyskawicy, czuję to, iż Mongibello i Wezuwjust wybuchają we mnie naraz, a ja spoglądam na swe ciało, lekkie i kruche, czy też nie strawił je tak potężny płomień; i cierpię, i raduję się i czuję, jak synowie tej ziemi, która wydała Danta i Leopardiego Machiawela i Borgię. Lecz nie pożarły mnie zmysły i nie schłonęła mnie wyobraźnia: krater mój nie widział nigdy popiołu, jeno zawsze ogień płonący. Jestem jak gdyby z azbestu: ciągle wśród płomieni i ciągle cały. Ten żywioł opętania nie zabija mnie, człowieka o krwi angielskiej; więc obserwuję się, liczę tętno swego serca i naginam wolę, aby zgasła ogień. Człowiek czynu oddycha pospołu z człowiekiem zmysłów, walczy i cierpi pospołu.

A gdy szal minął, gdy mieszkanię południa śpi i spoczywa zmożony, Anglik staje rzeźki, bardziej czynny i ekscentryczny, niż kiedykolwiek, odnawia się w namietności i wywołuje z uspienia ból. Czuję jak Włoch, działam jak Anglik, i jeżeli istnieje wieczny ruch, jeżeli wieczne cierpienie nie jest złudą, we mnie trwa jedno i drugie.

Przyroda, która dała Italji wulkany, obdarzyła ją wonnym oddechem gajów pomarańczowych; ona, co darowała zwrotnikom zazdrość Araba i rozkosze seraju, nie zapomniała jednocześnie o długim spoczynku i słodkiej sjeście. Lecz jam jest wulkanem i mgłą, we mnie jest intensywność bólu i ekstensywność. Czemuż to miłość zdobywa się na tak okrutne igraszki? Skuwa białego niedźwiedzia z tygrysem, sosnę i różę, lód i ogień?

(c. d. n.)

Z. ZAWISZANKA.

## CÓRKA BOGA

Lecz i tego jej nie dotrzymano. Wieziona z powrotem do tej samej wieży, obsypywało obelgami żołdactwo, niehamowane bynajmniej przez dowódców. Dano jej szaty kobiece, ogolono głowę. Znalazła jeszcze dość siły aby wypoliczkować krawca księżnej de Bedford, który, przymierzając jej suknie, pozwolił sobie na jakiś gest zbyt poufaly.

Obrona czystości, ślubowanej Bogu, staje się coraz trudniejsza w tych ostatnich, najokropniejszych dniach. Aż straszno wglądać w ich mrok, ziejący niegodziwością ludzką — straszno już patrzeć na ten kwiat wspaniały rzucony w błotnisty ściek, pod stopy bezduszne i okrutne. Nietylko zatrata, lecz i hańba

czyhała na jej ciało, tu, w ciemnościach więziennego legowiska — hańba owiewała jej duszę wspomnieniem tego ustępstwa, którem próbowała się ocalić.

Co ona podpisała właściwie? Sama nie wie już dobrze i w głowie jej się maści na myśl, że może obraziła Boga i świętą swą Radę.

Przychodzą Katarzyna z Małgorzatą, smutne wyrzuty jej czyniąc za odstępstwo.

Ach, wszystko, byle nie to! Śmierć, to drobnostka, wobec mąk rozszalałego sumienia. Chcąc czemkolwiek okupić chwilę swej słabości od rana 27-go maja, przywdziewa Joanna napowrót strój męski, jakby symbol walki ze swymi przesładowcami. Podobno straż

podsunęła jej go umyślnie; w każdym razie nie ulega wątpliwości, że na to tylko czekał Cauchon, by dopełnić ostatecznie swych zobowiązań wobec Anglików, pod jakimś pretekstem prawnym. Nazajutrz księża, przychodząc znów z „upomnieniami“, zastają Joannę straszliwie zmienioną przez boleść, tonącą we łzach.

— Przech wzięłaś na nowo szaty męskie? — pyta ją surowo.

— Albowiem bardziej mi przystoi odziewać się po męsku, niżli po niewieściemu, skorom jest między mężami. I przeto, iż mi nie dzierzono obietnic: jako pójdę na Mszę świętą, przyjmę Zbawiciela mego i jako mi zdejmą żelaza.

— Nie ślubowałaś to, odwołując błędy twoje, iż zrzucisz ono odzienie?

— Wolej mi odprawić całą karę naraz, czyli umrzeć, niżli nosić dłużej takowe męki w onym lochul! Ale puśćcie mnie na Mszę świętą, zdejmcie kajdany, dajcie do lekszego więzienia, kędybych była w niewieściej pieczy — a uczynię, czego Kościół żąda...

— Zaliś słyszała jeszcze Głosy twoje? coć rzekły?

— Iż Bóg mi objawia, przez Świętą Katarzynę i Małgorzatę, srogą żalność nad zdradą, jakiej się dopuściłam, czyniąc odwołanie dla ocalenia żywota — i jako, ocalając go, skazałam się sama. Głosy moje powiedziały mi tam, na rusztowaniu, iżbych śmiało odrzekała onemu kaznodziei. Kaznodzieja to fałszywy. gadał o wielu sprawach, których cale nie czyniłach! Nie pojmowałaś onego pisma, a znak swój położyłaś, jakoście kazali... Ze strachu ognia wyrzekłaś to, czego w sercu nie było...

„Responsio mortifera“ — zanotował na marginesie pisarz sądowy. Przez nią Joanna stawała się karcerką ponowną (rélapse), a dla takich nie było już zmiłowania. Gdyby nawet król Karol zdobył w owej chwili Rouen, nie mógłby już chyba jej ocalić, nie wchodząc w kolizję z przywilejami Kościoła. Mogła teraz rzec, za Chrystusem, do sędziów swoich

„Ta jest godzina wasza i moc ciemności!“

Coraz grubsze mroki zwierzały się nad tą dumną, ciemnowłosą głową. Powoli, w męce okropnej, pochylało ją późne zrozumienie, że z murów tych nie wyjdzie żywa. Wobec takiej myśli, męstwo jej chwila mi słabło.

Śmierć... wyobrażała ją sobie tylko na polu chwały. Nie bała się ni trudów, ni ran, ni ostatniego, najcięższego ciosu — lecz brzydziła się kajdan i brzdów więziennych, lecz drżała przed stosem. I przez to jest tak nawskroś ludzka, bliższa nam jakby i droższa jeszcze...

Wczesnym rankiem, 30-go maja, brat Ladvenu oznajmił jej, że tegoż dnia zginie. A żaden z aniołów nie przyszedł w tej chwili najcięższej, by żywe niebo ukazać poza stosem i ogrom pośmiertnej chwały... „Czuając, jak jej zabrakło ziemi i nieba zarazem, wpadła w głęboką rozpacz“<sup>1)</sup>.

— Biada, biada! — szlochała, chwytając się za głowę — zaliż poczną sobie ze mną tak srogo i okrutnie? Trzebaż, by wszystko ciało moje, nieskalane

nigdy, było dziś strawione i w popiół się obróciło? Ach, wolałabym siedemkroć gardło dać, niżli być takowym ogniem spaloną... Biada mi! o, jeślibych była pod strażą Kościoła, a nie wrogów moich — nie popadłabych nędznie w takową niedolę...

Wchodzącego Cauchon'a powitała okrzykiem:

— Biskupie! przez was to ginę!

— Wierzysz-li, iż zjawy twe i Głosy pochodziły od dobrych, zali od złych duchów? — badano ją jeszcze.

— Takie, czy owakie — okazywały mi się!

Teraz wreszcie dopuszczono ją do spowiedzi i do Komunii<sup>2)</sup>, którą przyjęła rzewnie płacząc — a potem zaczęła przemawiać do Boga, Marji Panny i świętych — z takim uniesieniem, że obecni do łez byli wzruszeni. Potem zwróciła się do jednego z księży, odruchem jakby dziecinny:

— Mistrzu Piotrze, kędy ja będę onego wieczora?

— Nie masz-li dobrej nadziei w Panu?

— O, tak... z pomocą Bożą, będę w raj!

Na najgorszych zbrodniarzy przychodzi czasem chwila skruchy; odczuła ją wówczas nawet nędzna dusza Loyseleur'a. Błagał o przebaczenie skazaną, a potem uciekł od niej, jak szalony, tak wyraźne dając oznaki dzikiej boleści, że go z trudem zaledwie odratowano z rąk Anglików. Gromadzili się już oni na radosne swym oczom widowisko, a z nimi tłum ludu, milczącego ponuro, bezsilnego w swym żalu, otaczał wózek, oczekujący u bram więzy.

O 9-ej rano wsiadła doń, w towarzystwie kata, Joanna, w długiej szacie białej, z czepkiem na głowie, cicha już i spokojna. Modli się tylko z płaczem, podczas smutnego pochodu.

Na placu targowym, strzeżonym przez wojsko, wznosił się już stos i kilka trybun. Wprowadzona na jedną z nich, słucha Dziewica długiego kazania księdza Midy, a potem wyroku, odczytywanego przez biskupa:

— Stanowimy, iż ty, Joanno, jako członek zgniły, musisz być odrzucona od jedności Kościoła, iżby zaraza nie ogarniała inszych członków — musisz wydarta być z ciała jego i wydana władzy świeckiej. Przeto odrzucamy ciebie, wydzieramy, opuszczamy, prosząc doczesną sprawiedliwość o łagodną dla cię karę...

Nie uwieźły mu w gardle obłudne słowa tej formuły, na widok stosu, niezwykle wysoko wzniesionego przez Anglików, by uczynić konanie ofiary cięższym jeszcze<sup>3)</sup>. U stóp jego przybity napis głosił światu:

„Joanna, która kazała mienić się Dziewicą, zgubna oszustka, zwodzicielka ludu, uwikłana w przesady, bluźniąca Bogu, błędząca w wierze, chełpliwa, bałwochwalcza, rozwiązała, krwi ludzkiej chciwa — odbiegała Kościoła, zwywała djabłów, zatwardziała heretyczka“.

(c. d. n.)

<sup>1)</sup> A. France.

<sup>2)</sup> Uderzająca niekonsekwencja! zdradza ona jakby brak głębszej wiary w tę herezję, za którą śmierć jej zadawano.

<sup>3)</sup> Przy niskim rusztowaniu mógłby kat odrazu udusić ją dymem.



## W OŚMDZIESIĄTĄ PIERWSZĄ ROCZNICĘ ZGONU

W roku bieżącym upływa 80 lat — gdy odeszła w zaświaty Klementyna z Tańskich Hoffmanowa. Odeszła w zaświaty z ziemi — a w zapomnienie we własnym kraju...

Dziś budujemy Polskę wskrzeszoną; ale Ona, Hoffmanowa, przed stu laty właśnie kładła również zręby tej budowy, bo uczyła rodaczki i ich dziatwę mowy ojczystej — całkiem zapomnianej, uczyła dziejów kraju i jego piśmiennictwa, uczyła jak kraj swój miłować i na ołtarzu jego ofiary składać. Wszak „papugą narodów“ nazwał Polskę Słowacki, a bard narodowy, poprzednik romantyków naszych — Brodziński, na smutny ton nastroił swą lutnię w żalu nad mową ojczystą.

O mowo Ojców moich! Słowami twojemi  
Ciężko już nucić ziomkom sławę polskiej ziemi,  
Płakać prędzej przystanią rzewnym twoim głosem  
Nad twą wzdardą — ostatnim na ojczyznę ciosem.

Nie pó polsku do swoich ojców mówią dziatki,  
Już polki nie rozrzewnią święte słowo matki,  
Przestała luba dziatwa pieścić mowę dziadów,  
Przy uctach w Zamku Ojców niema Polski śladów.

Tak więc polak, miłością Ojczyzny wstawiony,  
Za którą z bronią obiegł wszystkie świata strony,  
Czczoną od królów, krwawo kupioną od świata  
Ostatnią swą puścizną sam w domu pomiał!

1818 r.

Uderzył ten ton żalony, w serce młodego dziewczęcia, które i dziejów własnego kraju uczono z Naruszewicza w przekładzie na język francuski, odczuła ona głęboką krzywdę pięknej, ojczystej mowy, grozą ją przejęła niedaleko przyszłość kraju — zatracającego najdroższy klejnot spuścizny przodków i postanowiła tę zagrożoną placówkę ratować, stanęła na szanec, chwyciła broń i... zwyciężyła!

Zwyciężyła pracą całego życia, usilnością zwróconą w kierunku wzbudzenia w sercach Polaków przedewszystkiem umiłowania Ojczyzny, jej mowy, zwyczajów, cnót domowych i wiary.

Ona — pierwsza u nas kreśli pogadanki matki z dzieckiem, Ona też pierwsza stwarza u nas literaturę dla dzieci i młodzieży. Ona — w czasie, gdy po pensjach żeńskich, przeważnie klasztornych — nie uczono wcale literatury ojczystej dla braku podręczników i koniecznych do nich wypisów — wydaje obszerny życiorys zasłużonych w kraju uczonych i pisarzy, i na lat 70 przed wydaniem u nas „Obrazu literatury polskiej w wyjątkach“, — zamieszcza obszerny wypis z pisarzy Złotego wieku Zygmunrowskiego, zaczynając od Reja i nie pomijając Frycza Modrzewskiego — arjanina.

Ona kraj zwiedza, zachęcając do wycieczek krajoznawczych (co po 100 latach — dziś jest zalecane,) Ona kreśli obrazy barwne z tych podróży, odtwarza w nich zwyczaje i obrzędy ludowe — przy uroczystościach rodzinnych, (opis wesela w Krakowskim).

Ona, która za lat swych młodych, zanadto wielki w swych utworach kładła nacisk na to, iż prawie wyłącznym celem kobiety w życiu winno być zamążpójście, w swej doskonałej powieści „Krystyna“ wydanej w Paryżu w 1841 r. — dowodzi faktami, jak wierna swym ideałom kobieta, — może i po za obrębem małżeństwa być użyteczną społecznie i szczęśliwą. Ocenił też w pełni te jej zasługi znawca dziejów literatury naszej, Piotr Chmielowski — kreśląc kilka monografii o Hoffmanowej i cześć Jej pamięci

oddając zasłużoną, a Wasylewski w 1920 r. — w „Romansie prababki“ zestawiając ją z „Dydyszą“ pisze o niej: „Hoffmanowa oddała Polsce — polską kobietę, której wiek XVIII użyczył rozumu, ale zabrał narodowość. Hoffmanowa wypeniła gęsią kulturę panienek celkowych, chowanych w klasztorze przez metra tańca i nie umiejące abecadła polskiego zakonnice. Hoffmanowa wzięła dziewczátko polskie za rękę i zaprowadziła je do polskiego kościoła, miast do paryskiej l'eglise. Dała mu mocne oparcie etyczne, tłumacząc, że trzeba więcej mocy w duszy, by codzień małe ofiary czynić, aniżeli raz w życiu — na wielką się odważyć. — Ona była pierwszym kobiecym w Polsce talentem twórczym, więcej jeszcze: pierwszą sarmacką białogłową, co potrafiła wystąpić ze zdecydowanym, konsekwentnym programem działania. Całe życie pisarki, stało się miłością, służbą, wysiłkiem“.

Zwolenniczka Brodzińskiego i zwrotu w literaturze ku źródłom pieśni ludowych, nie dostraja się wprawdzie w całej pełni do zrozumienia uroku utworów naszych romantyków i pisze szczerze w swych pamiętnikach po przeczytaniu Irydjona, iż go dobrze nie rozumie, dodaje też „mówią, że należy przeczytać to po raz drugi“, lecz nie wie — czy warto czas tracić na to, czego pojąć nie jest w stanie... My, którzy dziś do utworów naszych wieszczów mamy tyle wykładów, komentarzy, objaśnień, — my, którzy Słowackiego, Norwida Wyspiańskiego, Żeromskiego — (Wiatr od Morza, Przedwiośnie — nie rozumiemy jeszcze w zupełności dotąd, czy możemy dziwić się temu, że Hoffmanowa nie zrozumiała od razu Irydjona?.. Dość, że w tym względzie próby czyniła i że do ręki go wzięła, — gdy o lat 40 młodsza od niej, Deotyma nie dawała sobie nawet wspominać o „Młodej Polsce“, nie pojmując zupełnie ani współczesności, ani demokracji.

Hoffmanowa całe zastępy czytelników przygotowała dla naszych twórców romantyzmu, dla Kraśzewskiego i jego następców. Następnie innym łatwo już było torować drogi w tym kierunku, skoro ona z nich usunęła kamienie tamujące ruch, i powyrwała chwasty pleniące się obficie na ojczystej niwie. Z natury optymistka, — wady narodowe znała, szczerze nad niemi bolejąc, w postępowaniu pewna siebie, nie przez zarozumiałość — lecz przez silną wiarę w prawdziwość swych myśli i uczuć, przez ocenę właściwą swej wartości duchowej.

Może dlatego dzisiaj nie docenia się w całej pełni zasług Hoffmanowej, że znamy przeważnie tylko Jej autobiografię, zamieszczoną przy wydawnictwie jej prac zbiorowych, a to jest zaledwie czwarta część cenzuralna Jej pośmiertnych pamiętników wydanych w 1851 r. w 3 tomach w Berlinie. One to odkrywają dopiero całkowicie duszę patriotki nie szowinistki bynajmniej — lecz Polki oddanej sprawie Ojczyzny, stającej do walki w najkrytyczniejszych chwilach jej bytu.

Hoffmanowa nie opuszcza Warszawy po wybuchu powstania listopadowego. Dnia 29 grudnia 1830 r. zakłada „Związek Dobroczynności Warszawianek“ i staje się jego naczelną opiekunką. Do końca rewolucji — zebrano 28.000 złotych. Damy Warszawskie zajęły się służbą po lazaretach. Przez pierwsze miesiące po wybuchu rewolucji, zajęcia te nie pozwoliły Hoffmanowej na regularne pisanie pamiętników. Później zamieszcza w nich charakterystyczne uwagi. Chłopickiego sądzi surowo; ale przy

znaje mu jakiś niepojęty urok. On odpycha, a ludzie idą doń... Żołnierzom dobrego nie daje słowa, a ci go na wodza żądają. W dobrym humorze — czyni co chcą, a w złym... tupie nogami, bije pieścią, woła: „Po co udajecie się do zdrajcy, do przeniwiercy, do upodlonego względem was człowieka?”

Hoffmanowa oddaje sprawiedliwość ofiarności obywateli Warszawy, szczególnie kobiet.

...Czas biegnie, oto już druga połowa lipca 1831 r. Trwogą i niepokojem przejmują Jej serce nieczynność Skrzyneckiego... „w mocarstwach, pisze, coraz słabsza nadzieja, wyraz „nationalité“ w mowie króla francuskiego — wszystkich tu oburzył, my, „independance“ chcemy!.. Przecież bez sumienia chyba byłyby narody, gdyby nam zginąć dały?..

...Złe się dzieje... wybuchają zaburzenia, tłum wpada do więzień, morduje — a koniec tego wszystkiego — to powierzenie rządów Krukowieckiemu!

„Senat i posłowie, pisze, powarzeni, potrożyli! Dziwna rzecz! Że Polacy tylko męstwo chwili, męstwo śmierci, że tak powiem mają, odwagi cywilnej brak prawie zupełny. Lada kto — wszystko na nich wystraszy, wykrzyczy. Sprawcy gwałtów i morderstw przeszłej nocy, przechadzają się bezpiecznie, nikt ich ruszyć nie śmie! My tylko obecnej chwili zawsze patrzymy na dziś, tylko uważamy na to, co nas w ten moment dotyka. W Krukowieckim dlatego, że znalazł łaski u rozhukanego tłumu, że go uśmierzył, już zbawcę i wielkiego człowieka widzimy...”

Nie zawiodły złe przeczucia... Wiemy z historii i monografii o powstaniu listopadowym — jak działał Krukowiecki! Dajmy tu ucho głosowi naocznego świadka tego — co się w Warszawie działo. „8 września 1831 r. ósma rano. Hańba! Zgroza! nieszczęście! a może zdrada? Wszakci to Krakowiecki oddał nas zupełnie Moskalom, wchodzić będą dziś o dziewiątej...

9 września. Ach! nie sen to był! nie sen! Zdradą najczarniejszą weszli, a pozakładali za czapki różdżki zielone, jakby zwycięzcy! O biedna, biedna Polsko! Ze też plemię niegodnych — nigdy w twem łonie nie wygaśnie! Któżby uwierzył że Moskale w Warszawie, acz wojsko do końca za okopy im przejść nie dawało, acz błagało, aby mu choć do 8-mej rano bić się pozwolono! Bem ręczył, że żadnego Moskala noga nie ujdzie, amunicji nie mieli, kamieniami broń nabijali! O Boże! Boże! to oszalać z żalu przyjdzie! Wszak ci to wydano im składy w Marymoncie, a jeszcze naszym prochem do nas strzelali i sprawcy tej zdrady jeszcze piorun niebieski nie zgromił.”

Dalsze karty, to rozdzierający opis wypadków następnych, dowodów męstwa, okropności wojny... „Dochodzą mnie wieści, pisze, że o naszych rannych nie myślą, biegam więc, krzuję jak mogę, byłam już w dwóch lazaretach, pójdę choćby do samego Paszkiewicza, jeśli tego będzie potrzeba”.

„Co tylko w mojej mocy robić będę, żeby pozostałym przy życiu los osłodzić. Sami Moskale są w uwielbieniu dla naszej artylerji.”

Opowiada o paniach przyjmujących generałów rosyjskich i o bohaterstwie innych. Notuje nazwiska mężczyzn i kobiet hańbiących się paktowaniem z wrogiem... „Jakąż wzgardą przejmują duszę Ci, którzy się garną do nieprzyjaciół! pisze... Ona przenigdy do Canossy nie pójdzie!.. amnestji nie dowierza, kto ma pracę i zdrowie, ten nie zegnje karku pod jarzmem,

nie będzie patrzył na nędzę, i uciemnienie współbraci. Nie pojmuję, jak ten, który przez dziewięć miesięcy mówił prawdę, był wolny, mógłby znowu milczeć, kłamać, zostać niewolnikiem i raz wypowiedziawszy posłuszeństwo Mikołajowi, na nowo mu przysięgać! Tego już nie potrafię.” Charakterystyczne są Jej uwagi o rewolucji. Rewolucja nasza, pisze, była w myśli, w sercu oświeceniowych, ale nie była myślą narodu, a raczej pospółstwa i ludu wiejskiego i rewolucja nasza nie była znową znakomitych, bo mało który o niej wiedział, rewolucja nasza nie była nawet buntem wojska, bo kilkudziesięciu oficerów i podchorążych nie stanowiła wojska, rewolucja nasza, była więc czynem wielkim, śmiałym, ale prawie szalonym... Powodzenie swoje w stolicy winna była jedynie zdumieniu, uwielbieniu, przemocy jakie czyny nagłe, śmiałe zwykły w ludziach obudzać.

Początek rewolucji pomyślny, winien był służyć za wzór postępowania dalszego; należało zawsze postępować nagle, niespodzianie i że tak powiem szalenie. Zatrzymać W. księcia, rozbroić wojsko rosyjskie, użyć go jako późniejszych jeńców do dróg, okopów i fabryk, przenieść co żywo wojnę za Bug, urządzić pospolite ruszenie. Wtedy, nimby się Car pojął, Litwa, Wołyń, Podole byłyby powstały, w Warszawie należałoby ustanowić rząd tymczasowy i starać się jedynie o utrzymanie wojny. Strzec jak oka w głowie królestwa, uważać je za spiżarnię, za zbrojownię, za matkę. — Rozsądnie, po ojcowsku rozkładać ciężary, ażeby zapasy nie na rok, ale na dłużej wystarczyć mogły, a kiedyby orły nasze były w Wilnie, w Krzemieńcu, wtedy dopiero sejm zwołać, rewolucję uznać za narodową, Mikołaja zrzucić z tronu, koronę ofiarować któremu z książąt niemieckich. Ale do tego wszystkiego trzeba nam było dwóch dobrych głów z sercem rewolucyjnym, jednej do rządu, drugiej do wojska. Takiej ani jednej nie było...

„Trzeba nam było w rządzie człowieka z rewolucyjną chęcią Lelewela, z głową Lubeckiego, z Czartoryskiego imieniem i sercem. Trzeba nam było w wojsku człowieka z żądzą niepodległości Wysockiego, z talentami i sławą Chłopickiego, trzeba nam było posłów z nienawiścią ku Moskwie Niemojewskich, z rozsądkiem Świdzińskiego; ale na nieszczęście rewolucja nasza jednego nie znalazła, nie utworzyła wielkiego człowieka. — Było cnót, zdań światłych, czynów pięknych wiele, ale rozrzuconych, te, jak owe strzały indyjskiego ojca, żadnego nie przyniosły pożytku. Ja pewna jestem, że nawet zupełnego porozumienia nie było, ani między sejmującymi, ani między kierującymi wojskiem. Że nie znalazłby trzech, którzyby powiedzieli umieli czego chcą i jaki ich cel — przecież zgoda na cel była konieczną, należało wiedzieć czy żądamy niepodległości, czy tylko pewnych koncesyj i układów. Tymczasem żądza niepodległości była tylko w odgrzaniach się w pismach, a koncesje i układy w sercach i głowach bardzo wielu. Jakże tu dobrze pójść miało? Robiono jeden krok w lewo, drugi w prawo, jeden naprzód, drugi w tył, trudno było zająć daleko. Rewolucja nasza była jak owo przejście przez rzekę, w której już lody pękają. Zgubiło nas, że nie ci prowadzili rewolucję, którzy ją poczuli, a raczej, że ci, którzy ją poczuli — nie byli w stanie jej prowadzić...”

Kreślili plany domu, sprzeczali się o nie, każdy swój rość i, chwalił, a placu nie zapewnili sobie — gdzie ten dom stać ma. Znikła też napowietrzna budowal..“

Mysmy przywykli widzieć jedynie w Hoffmannowej autorke „Pamiętników po dobrej matce“ i kilku innych utworów dla dzieci i młodzieży, — w Jej zaś wyżej przytoczonych ustępach z niecenzuralnych pamiętników — spotykamy się z umysłem krytycznym, spostrzegawczym, kreślącym uwagi pełne głębokiej prawdy! Hoffmannowa przez życie kroczyła drogą postępu, — wbrew zdaniom niedouczków domorosłych. Wychowana w konserwatywno — arystokratycznym środowisku, na emigracji, szczerą staje się demokratką. Gdy w omnibusie, w Paryżu, spotyka się z ludźmi ciężkiej oddanymi pracy, z szacunkiem patrzy na ich znużone oblicza, — znajdując zupełnie naturalnem, że dla upału pozdejmowali swe bluzy, gdy konduktor i inni jadący zdawali się być tem zgorzzeni.

„To jest niesłychanym postępowaniem, niezmiernym rewolucyjnym dobrodziejstwem, pisze w swych pamiętnikach, że podobno w żadnym kraju w świecie — mniej na ród wysoki, na majątek, na powołanie nie zważają jak tu. Każdy stan, każde rzemiosło szanowane. Tu nikt nie cedzi przez zęby wyrazu: doktor, kupiec, adwokat, malarz, aktor itp. „Nous autres industriels, mówi się z tą samą dumą — jak dawniej mówiono: „Nous autres gentilhommes.“

Rozumiała więc Hoffmannowa doskonale, co niosły z sobą przewroty społeczne. — Zmieniała poglądy, wierną pozostając zasadom, którym hołdowała w zaraniu dni swoich, gdyż te miały zawsze na względzie dobro kraju i sprawiedliwość i prawdę, Tak przeszła przez życie, podnosząc wysoko sztandar umiłowanej Ojczyzny i wierząc w Jej odrodzenie.

.....

Gdy kraj opuszczała, zegnała Ją delegacja dam wręczając złoty pierścień i wiersz okolicznościowy.

3-cia jego zwrotka.

Kiedy pod Pragą, Wawrem i Dębami,  
Waleczny żołnierz odniósł srogie blizny,  
Dawałaś pomoc własnymi rękami,  
Ratując życie, co niósł za Ojczyznę.

W pamiętniku swym Hoffmannowa nie wspomina o tym epizodzie, lecz i z niego widzimy, iż była mocno w oczach rządu wrogiego skompromitowana, uznać go zaś nie zdołała. Dziwi się, że urzędnicy komisji wojny już przysięgli na nowo Mikołajowi. Z goryczą i niemal pogardą pisze: „niektórych ludzi przysięga — tyle kosztuje, co odmienić koszulę“...

I poszła na wygnanie, a za nią udał się też za granicę mąż jej — Karol Hoffman. Ten mógłby być w kraju pozostać, więc i tu mylnem jest orzeczenie domorosłych krytyków, że Hoffmannowa podążyła za mężem emigrantem — wprost przeciwnie się stało, On poszedł za swą dzielną żoną...

Hoffmannowa z zalem, z boleścią kraj opuszcza i kreśli jakby program postępowania dla emigrantów. Na obczyźnie, powinni Oni świecić przykładem cnót, jedność, „uważać się za apostołów i wyznawców wiary polskiej, szanując w sobie nie tylko godność człowieka, ale Polaka — emigranta. Postępujemy jak najszlachetniej, żadną podłością, żadnem uchybieniem nie ubliżamy Świętej Sprawie, nie dodawajmy ani dźbła do ciężaru tych zarzutów, które już dźwigają Polacy“...

Takie rady kreśli w pamiętniku, któryby warto dziś przedrukować z wydania Czerlińskiego, by stawić przed oczy społeczeństwa polskiego tę postać świetlaną Polskiej niewiasty, zaprawdę — mało u nas znanej, dawniej wielbionej, a dziś w cień usuniętej. Wszak pamięcią i wszechstronną znajomością swych przewodników duchowych — karmić się powinien duch pokoleń narodu.

Listopad 1925 r.

Kazimiera Ostachiewiczowa.

## DLA POLSKICH DZIEWCZĄT I DZIECI<sup>1)</sup>

W kraju własnym szło Matce Ledóchowskiej trudniej, aniżeli na obczyźnie. Zaofiarowała pracę swoją i dwudziestu Sióstr Urszulanek. Odrzucono ją. Miała odczyty w Warszawie i Poznaniu. Nic to nie przyniosło. Jednak ze zwykłą swoją upartą energią i śmiałością dążeniem do zamierzonych celów, nie ulękła się przeszkód. Dziś — po sześciu zaledwie latach pobytu w Polsce, ma już za sobą dziewięć ognisk czynu, czyli t. zw. „domów“, które stworzyła nadludzkiem, nieprawdopodobnym wysiłkiem. Są to:

### W WIELKOPOLSCE:

1) Pniewy. Szkoła gospodarcza, seminarjum gospodarstwa domowego z prawami państwowymi, Kolegium Piusa X dla chłopców, którzy chcą zostać księżmi.

2) Goździechowo. Ochrona dla biednych dzieci (z fund. p. Chłapowskiej).

3) Oborowo. Ochrona dla biednych dzieci. Szkoła gospodarstwa domowego.

4) Poznań. Bursa dla niezamożnej uczącej się młodzieży.

### W KRÓLESTWIE POLSKIM:

5) Sieradz. Szkoła powszechna. Ochrona z internatem. Szkoła tkactwa.

6) Bugaj pod Ozorkowem. Szkoła powszechna.

7) Łódź. Szkoła katechetek. Magistracki dom wychowawczy dla dzieci.

8) Warszawa. Internat dla stu studentek (Sienna 87). Szkoła powszechna.

9) Czarny Bór pod Wilnem. Ochrona dla dzieci.

W ciągłych rozjazdach jest Matka Ledóchowska. Nie zna chwil spoczynku. Zwiedza swoje „domy“.

— Który najmilszy? — Zawsze ten ostatni, gdzie — jestem.

Zakłady w Pniewach na cześć norweskiego ofiarodawcy. noszą miano „Domu św. Olafa“. — W przedziwny sposób umie Matka łączyć Olafistki z sobą. Stanowią jakby jedną rodzinę — te, które skończyły szkołę i te, które są w niej jeszcze. Znają się z pisma, które wychodzi w Pniewach pod nazwą „Dzwonka św. Olafa“. Głos jego rozchodzi się daleko i przyciąga serca b. Olafianek do dawnej zbożnej przystani, nawołując je przytem do obowiązków młodych matek.

Olafitki, kończąc zakład, biorą pod swoją opiekę — prawie każda „małego księdza“, t. j. jednego z wy-

<sup>1)</sup> Dokończenie artykułu drukowanego w N-rze 39 „Bluszczu“ z 1926 roku.

chowanków Kolegium Piusa X w Pniewach, — sierotę lub dziecko bardzo biednych rodziców, kształcone tak, aby w razie, jeżeli zdradzi powołanie do stanu duchownego, mogło zostać księdzem. Presji żadnej kolegium nie wywiera. Chłopcy po skończonych trzech, czterech klasach gimnazjum i nauce obcych języków, mogą obrać inny kierunek. Jednak — o ile wytrwają — ważnym jest, żeby od lat najmłodszych zrozumieli, jak wielka odpowiedzialność ciąży na stanie kapłańskim. Żeby wiedzieli, iż chcąc zostać prawdziwie bożymi duszopasterzami, muszą wyteńczyć myśl i wolę w kierunku kształcenia własnego charakteru, urabiania duszy do najcięższego hartu wewnętrznego. — B. Olafitki przesyłają składki dla wychowanców swoich, szyją im ubranka i bieliznę.

„Dzwonek“ rozbrzmiewa echem zjazdów Olafitek i kroniką ważniejszych wydarzeń w dziejach „domów“. Któryś numer przynosi opis wizyty Ks. Nuncjusza Mgr. Ratti, obecnego papieża Piusa XI, w Pniewach. Nie trudno domyśleć się pod kryptonimem M-a wytrawnego, zręcznego pióra samej Mateczki, która jest doskonałą, pełną werwy, dowcipu i temperamentu feljetonistką. Styl jej krótki, zwięzły, miejscami urywany, ma charakter zupełnie współczesny. Trudno zrozumieć, jak gdzieindziej ta sama pisarka, wznosi się do szczytów pobożnej ekstazy. (Np. w rozmyślaniach wielkopostnych). Ale taką już jest ta bujność natury, przebogatej duchowo, potężnej skalą pragnień i dokonań.

Zajęła się Matka Ledóchowska po przyjeździe do kraju zorganizowaniem t. zw. „Krucjaty Eucharystycznej dzieci“, która początkiem swoim sięga XIII w., kiedy z Francji wyruszyła do Ziemi Świętej armja ze 150,000 dzieci pod przewodnictwem chłopczyka im. Stefana. W czasie ostatniej wojny wszechświatowej, w chwilach najkrytyczniejszych, kiedy jakby rozpekły się wędzidła sił dobrych i cała złość piekieł wylała się na ziemię, papież Benedykt XV wezwał dzieci, żeby Mu pomagały modlitwą do odrodzenia świata w miłości Chrystusa.

Zapisało się do tej nowej Krucjaty Eucharystycznej prawie milion dzieci. Sama Francja dała 100.000. Niewielka Irlandja 29.000. Jakżeż miałoby zbraknąć polskich duszyczek? Rzuciła Matka Ledóchowska w świat płomienne odezwy, zaciągnawszy do dzieła propagandy przedewszystkiem Olafitki.

Przed paru miesiącami jeździła Mateczka do Rzymu dla podjęcia starań w celu założenia tam „domu polskiego“ — dziesiątego już z kolei. Zaofiarowała również usługi Sióstr Urszulanek w misjach.

Wiemy, jak gorliwie pracuje organizacja „Sióstr białych“ w Afryce. Prawie niema dzikiego kraju, do którego by nie dotarli misjonarze i misjonarki europejskie. Dostarczają ich zakony wszystkich narodowości. Polska nie dała dotąd sióstr zakonnych wcale. Więc i o tem pomyślała zabiegliwa Matka. Pójdą w świat nasze Urszulanki. Będą budziły do życia umysły niewiedzące, rozniecą iskry uczuć w sercach pierwotnych.

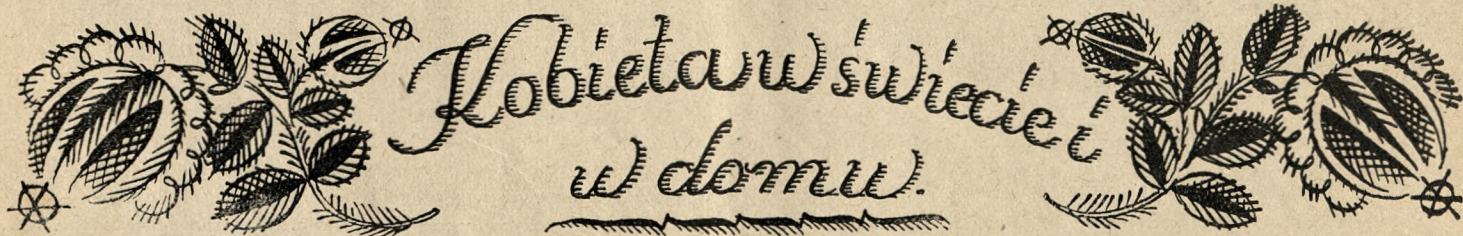
Pracuje Matka Marja Urszula w Polsce i dla Polski. Życie jej nie zna godzin wytchnienia. Każde pomysłenie staje się dokonaniem. Idzie za nią wicher twórczy, który nie zna zapory sił fizycznych. Słyszysz w sobie głos, którego nakazy spełnia z radością samounicestwienia. Coś z niezmożonej energii świętej Teresy i z umiłowań, z prostoty św. Franciszka ma w sobie.

Tkwi mocno w życiu, gdyż po przez troskę o uwzględnienie potrzeb realnych bliźniego, dąży do rządów dusz w państwie niematerialnych wpływów swoich. Bystry umysł każe jej iść z postępem czasu. W pokorze bezgranicznie ofiarnej służebnicy bożej zawraca wszakże ku dobie prostaczej samowystarczalności. Siostry Urszulanki w Pniewach same orzą, same zbierają plony, same wykonywują najcięższe roboty w domu i w polu. Siostry przy odbudowie klasztoru w Sieradzu same dźwigały cegłę, lasowały wapno i nosiły je w cebrach, spełniając pod wodzą zawodowca — majstra wszystkie prace niewykwalifikowanych robotników. — A są między niemi kobiety, jak Matka Ledóchowska sama, z wysokich starszłacheckich i arystokratycznych rodzin, nienawykłe do twardych wysiłków fizycznych.

Jednak stoją na stanowisku. Jednak z uśmiechem świętej Klary ciągną taczki najcięższe. Z uśmiechem św. Klary, która w noc ciemną, w śnieg, wicher — miast mroku — widziała przed sobą róże i fijołki wiosenne, bo taka była wola jej duchowego przewodnika.

Wierzą w Matkę swoją i jej posłannictwo Siostry Urszulanki. Łączy je więź trwalsza od wszystkiego, co byłoby w stanie zmóc trudy doczesne. Napięcie najgórniejszych strun woli jest jak ten pancerz ze stali, którego nie przebije żaden pocisk. Wiara w czyn — z nakazu świętych przeznaczeń daje tę moc niespożyta, która jak wieczne światło przed bożym ołtarzem, płonie i nie trawi się w sobie.

C. Walewska



#### NIC NOWEGO POD SŁOŃCEM.

Uczni archeologowie doszli do przekonania, że dzisiejsze modnisie nie wynalazły nic nowego pod względem zabiegów kosmetycznych i umiejętności upiększania się od czasów egipskich faraonów. Wykopaliska w Egipcie, Indjach, oraz innych krajach o prastarej cywilizacji wykazują taką nadzwyczajną

pomysłowość i wysoką technikę wykonania najpiękniejszych klejnotów i ozdób kobiecych z metali, kamieni drogocennych i t. p. — że nie powstydziliby się tych arcydzieł sztuki jubilerskiej żaden mistrz nowoczesny. Również wysoko stała jeszcze w bardzo odległej starożytności i wiedza kosmetyczna. Odnalezione przez uczonych papyruse staroegipskie zawierają moc przepisów kosmetycznych, z których dla przykła-

du przytoczymy tylko jeden. Jest to maść przeciwko wypadaniu włosów. Składa się ona z tłuszczu kotki, krokodyla, nosorożca, hipopotama, lwa i tygrysa. Wszystkie te tłuszcze razem zmieszane i zaprawione wonnościami stanowiąc miały niezawodny środek na porost włosów. Kto wie, możeby warto było wypróbować?

### PRECZ Z TOREBKAMI RĘCZNYMI!

Moda amerykańska, odznaczająca się zawsze oryginalnością pomysłów, bojkotuje teraz ręczne torebki damskie, uważając je za przeżytek „śmieszny i niepotrzebny“. Chusteczkę do nosa, puderniczkę i lustro nosi się w kieszonce, umieszczonej pod mankietem prawego rękawa. Jest to podobno bardzo ładne i... wygodne.

### CZARNE I JASNE WŁOSY.

Jeden uczony niemiecki pracował przez wiele lat nad zbadaniem różnych właściwości włosów i rezultaty swych doświadczeń ogłosił w obszernym dziele. Dowiadujemy się z niego, że jasne włosy rosną daleko szybciej, niż czarne. Gdyby włosy te nie wypadły i nie łamały się, długość warkocza blondynki mogłaby osiągnąć nieprawdopodobnego rozmiaru stu trzydziestu sześciu kilometrów. Czarne włosy są obdarzone daleko mniejszą siłą wzrostu, w najlepszym bowiem razie mogłyby mieć siedemdziesiąt kilometrów długości. Zato jednak są to włosy o wiele trwalsze i nie wypadają tak łatwo, jak jasne, które wykazują ponadto tendencję do łamania się i rozdwarzania.

### NIEZWYKŁY ŚLUB.

W Sewilli odbyła się niedawno niezwykła uroczystość: oto w jednym dniu proboszcz miejscowego kościoła udzielił ślubu sześciu parom, to jest sześciu siostrzom Casanza z sześcioma braćmi Tonedos.

Ojcowie tych niezwykłych nowożeńców byli oddawna zaprzyjaźnieni ze sobą, a gdy Bóg obdarzył jednego z nich sześcioma synami, drugiego zaś — sześcioma córkami, postanowili, jeśli młodzi nie będą mieli nic przeciwko temu, pożenić między sobą swoje dzieci. Młodzieńcy i panienki, wychowani ze sobą od dziecka, przychylni się chętnie do projektu rodziców i w ten sposób odbył się ten zaiste niezwykły ślub. Miasto wyznaczyło od siebie pewną sumę na posagi dla oblubienic.

Z. B.



### TEATR NARODOWY

„Sen srebrny Salomei“, dramat *Juljusza Słowackiego*.

Przedstawienie „Snu srebrnego Salomei“ w Teatrze Narodowym jest świadectwem wysiłków artystycznych bardzo niejednolitych, bardzo z sobą niesharmonizowanych, a czasami nawet wręcz sprzecznych.

Fantastyczne dekoracje Drabika klóciły się z reżyserskim ujęciem dramatu Słowackiego. Dekoracje te, które same w sobie

mogłyby budzić poważne zastrzeżenia, nie mogą stanowić tła dla realistycznych kostjumów i szablonowego traktowania grup i tłumów. Rzucało się w oczy zwłaszcza w obrazie drugim: „Obóz Gruszczyńskiego“ i w scenie przed zagrodą Semenki, Śród dziwacznie uformowanych drzew uwijało się kilku (dosłownie kilku) statystów, ubranych w rażące swym zbytecznym realizmem mundury żołnierskie. Postacie te nie budziły w nas zaufania ani do swoich cnót rycerskich ani do sprawności bojowej. Otoczenie Semenki również nie przejmowało nas grozą, pomimo groźnie wzniesionych toporów i okrucieństwa na twarzy setników. (Tu wchodzimy w granice błędów reżyserskich!). Sadzawka w ogrodzie, miejsce marzeń księżniczki i schadzek Salusi, nie miała w sobie nic poetyckiego, nic co mogłoby usprawiedliwić, że młodzi ukochali ten właśnie zakątek. Obraz ten był chybiony w tonie. Wiało od niego zimnem i sztucznością, co stanowi rażącą sprzeczność z ciepłem słów i prostotą Salusi, tego uosobienia dziewczęcości. Podobne zarzuty możnaby postawić i innym obrazom. Na obronę profesora Drabika (którego wybitny talent i zasługi zbyt są znane by o nich na tem miejscu przypominać), zaznaczyć należy, że reżyser „Snu srebrnego Salomei“ nie miał wyraźnej koncepcji tego dzieła i nie potrafił jej narzucić swoim współpracownikom.

W „Śnie srebrnym Salomei“ rzeczywistość, chwilami aż na zbyt brutalna, wiąże się przedziwnie z krainą snów, marzeń, pręczy... Salusia miewa prorocze sny, widzenia, słyszy głosy. Księżniczka, ów żywy kaprys, wierzy w przesady, wróżby. Zahartowany w bojach Gruszczyński przysięga, że Chrystus trzykrotnie zapukał do okna jego domu, nawet regimentarz — o Wernyhorze nie wspomnę! — wierzy w cudowną moc swego sygnetu z wizerunkiem Ś-go Franciszka. Te dwa pierwiastki powinny być wyodrębnione, inaczej cały sens sztuki ginie w powodzi słów, któremi poezja romantyczna tak hojnie nas darzyła. W interpretacji pana Trzcieskiego te dwa pierwiastki się zlewały, a właściwie nie oddzielały, przez co chwilami miało się wrażenie, niestety, prawie komiczne. Nie wy dobył też pan Trzcieski romantycznego pierwiastku z dramatu Słowackiego, nie podkreślił rysów charakterystycznych poszczególnych postaci, które poeta malował, nie szczegółując barw mocnych, ani silnych kontrastów.

W obsadzie aktorskiej Dyrekcja Teatru Narodowego poszła drogą najłatwiejszą, zbyt upraszczając ujęcie charakterów poszczególnych ról przez oparcie się na powierzchownych raczej cechach talentów artystów. Węgrzynowi kazano grać Semenkę — ponieważ ma demoniczne spojrzenie. Regimentarzem zrobiono Frenkla, gdyż jest to najtypowszy polonus, jaki ukazuje się na scenie. Leszczyński — ulubieniec kobiet — uosabiał ideał niewieści — kozaka Sawę. Artyści tej miary nie mogli zepsuć roli, żaden jednak nie czuł się w powierzonych sobie roli swobodnie.

Dlatego to natchniony i przedziwnie piękny wiersz Słowackiego nie przemówił tym razem do naszych serc i wyobraźni...! Ci, co go mówili, nie wkładali w słowa swojej duszy. Wyjątek stanowi p. Ludwik Solski, Wernyhora, który powiększył swój bogaty repertuar o jeszcze jedną świetnie ujętą rolę. Pan Brydziński był dobrym Pafnucym, p. Skarzyński dał szlachetną sylwetkę Gruszczyńskiego, p. Szymański nie umiał wy dobyć szerszego tonu z bladej postaci Leona.

O ile obsada ról męskich budzi tylko zastrzeżenia, o tyle obsada ról niewieścich wydaje mi się przykrem nieporozumieniem.

Pani Gromnicka włożyła dużo pracy w nauczanie się roli Salusi, ale rola ta nie leży w granicach jej talentu. Pani Gromnicka ma w sobie w sobie dużo afektacji i sztuczności, a Salusia prostoty i dziecięcości. Rola ta była absolutnie chybiona.

Pani Zahorska posiada doskonałe warunki sceniczne, ale trudno nam uwierzyć, że tak wyglądała powiewna księżniczka, uosobienie kaprysu i dziwactw, Białą Księżyc, kwiat.

Obu tym paniom stała się wyraźna i niezasłużona krzywda. Poniosły wiele trudu, chociaż z góry należało przewidywać przegrana.

Z. P.



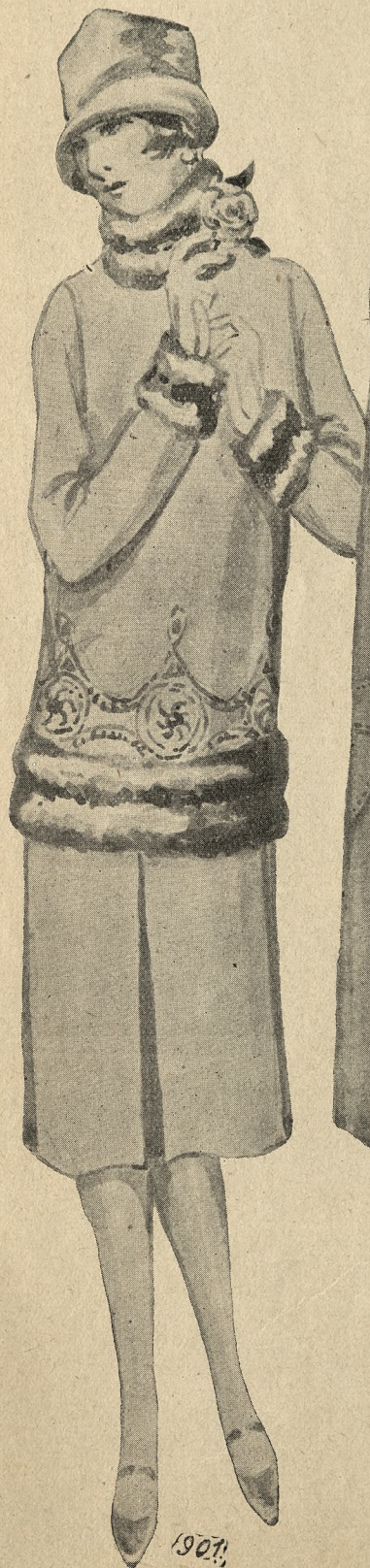




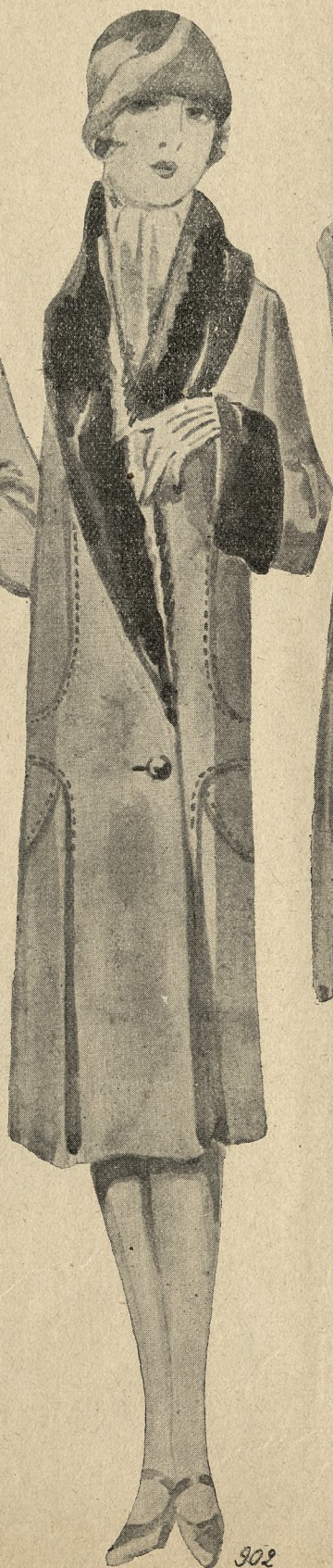
899.

900.

6



901



902



903



904



905.

906.

907.

908.



909



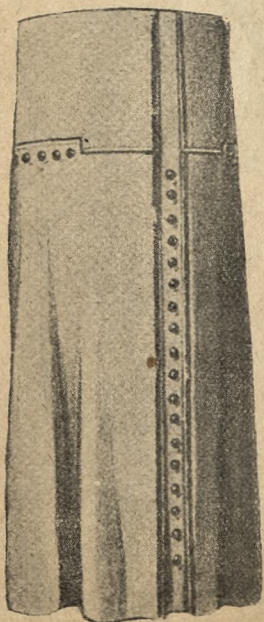
970



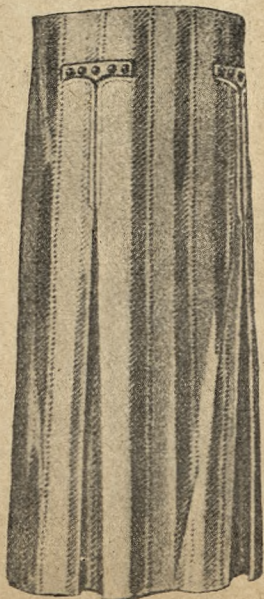
911



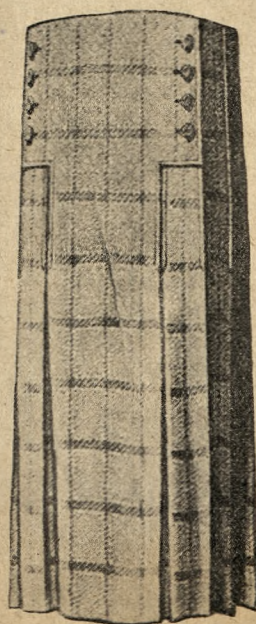
912



913



914, 915



916





917

*Tło — sukno szaro niebieskawe. Cały rysunek czarny i biały, skrzydła i grzebień ptaka, kwiaty na drzewach, paciorki i guziki na żabocie — w dwóch cieniach pomarańczowych.*



918.



919.



920.



921.

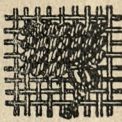


922.

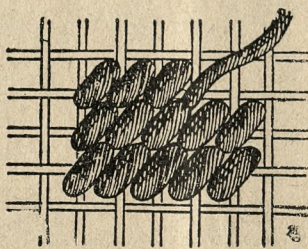
## HAFT SCIEGIEM GOBELINOWYM

Wracają się czasy prababek, czego dowodzi modny obecnie haft gobelinowy. (Rys. 1)

Robi go się na podstawie cienkiej kanwy w kratkę. Rys. 2 wskazuje ścieg powiększony. Rys. 3 ścieg naturalnej wielkości. Rys. 1 całość wzoru, koszyk z kwiatami, wykonany robotą dziś najmniejszą, a każdemu pamiętną z dawnych pozostałości domowych. Ścieg gobelinowy jest prosto pierwszą połową ściegu krzyżowego, trzeba uważać żeby go robić zawsze w jedną stronę, i w miarę dociągać nitki. Na deseniu wskazany powyżej trzeba ładnie zharmonizować kolory: żółto-pomarańczowy, wyraźny różowy, ponsowy, piaskowy, brązowy, trochę szafirowego i czarnego, albo zestawienie dwóch kolorów popielatych wpadających



3



2

w ton niebieskawy, kwiaty jasno i ciemno niebieskie ze środkami żółtymi i ognistymi, gdzieniegdzie wplątany w liście cień rudy o ciepłej barwie jesieni, a całość podkreślona czarnym.

Kolory można zresztą dobrać dowolnie, według gustu i stosownie do celu jakemu poduszka ma służyć, lub pokrycia na meblach do jakich ma być dostosowana.

Jaśniejsze i ciemniejsze tony na wzorze wskazują sposób rozłożenia barw, i cieni w jedwabiu lub bawełnie, któremi robota ma być wykonana.

Taką robotę można też oprawić w ramki i powiesić jako obrazek, musi jednak być wtedy słicznie wycieniona i robiona jedwabiami na bardzo cienkiej kanwie.



## MODY JESIENNE

Nie wiem, czy szalony wyścig w pogoni za ciągłą nowością wreszcie sprzykszył się Pani Modzie, czy też może ciężka ekonomiczna sytuacja Francji skłoniła paryskich krawców do usłuchania wreszcie głosu rozsądku — dość, że modna linja zdaje się podległa pewnej stabilizacji. Sezon jesienny nie przynosi żadnych jaskrawych nowości, żadnych „krzyków”. Jumper i fałdowana spódniczka zajęły w naszej garderobie stałe i poczesne miejsce, narówni, ze starym dobrym przyjacielem, kostjumem tailleur. Oczywiście lekkie i wiotkie letnie tkaniny zastąpi teraz wełna, gruby mięsisty jedwab i nawet w lecie ukochany przez paryżanki velours de laine.

Kostjum z żakietem w formie smokinga w dalszym ciągu jest modny. Smokingi, jako strój wieczorowy, pozostały wybrykiem stosownym na otwartą scenę, albo maskarady. Widziałam nawet przesłiczny, leciuchny model smokinga ze stalowej tafty, renwersy i fałdowana spódniczka były ze srebrzystej mory, kamizelka z białego atlasu, pęczek fiołków parmeńskich w butonierce.

Osoba bardzo zamożna, mająca gust ekscentryczny, a przytem obdarzona wysokim wzrostem i smukłą figurą, może sobie w ostateczności na podobny wybryk pozwolić.

Większość kobiet nie zgodzi się nigdy na zamienienie powiewnego, mieniącego się tęczą barw, złota i kamieni arcydzieła, jakim jest współczesna suknia balowa na ciężki i sztywny męski strój wieczorowy.

Nareszcie kobieta, usamodzielnivszy się społecznie, zaczyna się zdobywać na stokroć większą odwagę usamodzielnienia się tualeto. Próba krawców paryskich narzucenia nam sukien długich spełzła na niczem.

„Wygoda przede wszystkim” rzekły rezolucyjnie paryżanki i sukienki pozostały krótkie, robią się czasem o parę centymetrów dłuższe, ale to tylko dlatego, że musi być jakaś rozmaitość, a już krótsze być nie mogą. Obok znanych nam deux i trois pieces przynosi nam sezon jesienny ostatnią nowość: kostjum quatre pieces. Składa on się, jak dawniej nam znany „compté” czy „ensemble” ze spódniczki, jumpere, krótkiego żakietu, lub długiego płaszczyka i kamizelki bez rękawów. Ta ostatnia w zależności od długości okrycia bywa krótka jak jumper, albo długa do kolan.

W przeciwieństwie do całości, która bywa zwykle wykonana

w odcieniu ciemnym, lub pastelowym, taka kamizelka bywa wykonana w kolorze jaskrawym i z materiałów deseniowych. Szerokie pasy, duże kraty, olbrzymie bukiety, nic nie jest zbyt wyzywające. Kamizelka ożywia otwarte z przodu okrycie, na tło czarnej, granatowej, lub popielatej sukni rzuca żywą barwną plamę.

Pozwala również tanim kosztem urozmaicić monotony wygląd ciaglej tej samej sukni. Na kamizelkę można zużytkować lepsze kawałki znoszonej jedwabnej sukni, kupioną na wyprzedży resztkę, można ją przybrać fantazyjnym haftem, lub aplikacją. Haft krzyżykowy na grubym tiulu znajdzie tu nader szczęśliwe zastosowanie.

Moda kamizelek stosuje się również przy sukniach, są to wtedy małe kamizeleczyki wypełniające przód sukni. Robią się najczęściej z drobno plisowanej georgette'y białej lub w jasnym odcieniu bois de rose.

Niewielki wykładany kołnierzyk jest wykonany z podwójnie złożonej georgette'y w tym samym co kamizeleczyka kolorze.

Ładnie wygląda kołnierzyk i kamizeleczyka z drobno marszczonych falbanek z białej lub mocno kremowej koronki.

Rękawy robi się przy jesiennych sukniach długie, wyjątek stanowią strojne suknie wieczorowe. Zawsze wielką popularnością cieszy się rękaw zakończony w dole plisowaną bufką.

Plisowanie, karbowanie, oraz drobne i szerokie kontrafałdy są

wciąż modne, jakby coraz modniejsze. Natomiast plisowanie deseniowe, bardzo ładne i oryginalne, nie przyjęło się w Paryżu jako mało praktyczne. U nas rzuciła się na nie z całym temperamentem ulica, co dla osób prawdziwie wytwornych jest również mało zachęcające.

Przy płaszczach obok wachlarzowych kontrafałdów spotykamy jeszcze czasem i godety. Futrzane kołnierze są bardzo sute i marszczone.

Modne są wielkie etole futrzane i puszyste lisy. Cyrkiel sukni dziennej jest równy, przy toaletach wieczorowych dopuszczalna najdalej idąca fantazja, zęby, draperye, tren z jednego boku owijany dookoła ręki itd... Stan zdaje się mieć tendencję do wrócenia na dawne normalne miejsce.

Tendencję na razie bardzo dyskretną. Niektóre firmy lansują bluzki noszone nie z góry na





spódniczce jak dotąd, a wsuwane pod pasek spodniczki. Suknie z georgette'y i lekkiego jedwabiu miewają marszczone spodniczki i bluzki luźne i bufiaste związane szeroką szarfą nieco wyżej niż dotychczas. Obok nich widuje się szereg najnowszych modeli z pasem nisko opuszczonym na biodra. Wiele sukien nie ma wcale paska i stan nie jest wyraźnie zaznaczony, jest to krój *princesse*. Przy sukniach taftowych, które są w dalszym ciągu modne i będą się cieszyły powodzeniem przez całą zimę, robi się obcisłe staniczki niezbyt długie i szerokie marszczone spodniczki, przypominające krynoliny.

Nazywa się to *robe de style*. Takie *robes de style* często się przybiera falbanami i riuszami

z tafty, co jeszcze podkreśla ich szerokość. Czasem łączy się taftę z georgettą, a czasem daje się szeroką koronkową falbanę, w takim razie koronka musi być znacznie dłuższa niż tafta i odsłaniać na azur nogę. Wogóle *robe de style* powinna być dłuższa, niż sportowa sukienka z *jumper'em*. Zarówno przy płaszczach jak i przy sukniach modne są wciąż fantazyjne pelerynki. Wielkie futrzane peleryny podbite brokatem i lamą stanowią marzenie Paryżanki i zwykły strój wieczorowy ubierającej się w Paryżu Amerykanki. Przy naszym klimacie praktyczniejszy będzie szczelnie zapięty płaszczyk futrzany z rękawami, lub choćby tylko sukienne okrycie na watolinie i z dużym futrzanym kołnierzem. Wedle stawu grobla. *Well.*

## POLSKA WSPÓŁCZESNA

Wskutek nieobecności wakacyjnej autora artykułów o „Polsce Współczesnej“, oraz drukowania „Bluszczu“ w obcej drukarni, w czasie strajku pracowników drukarskich, wkradły się do szeregu artykułów poważne pomyłki, które niniejszem prostujemy:

w Nr. 32 w artykule p. t. „Stosunki antropologiczne“, na str. 1040, w wierszu 19-ym pierwszej kolumny opuszczono po wyrazie „po łacinie“ — wyraz „nie“. Powinno brzmieć: „w Polsce warstwa możnych, zwana „nobiles“ po łacinie, nie była warstwą napływową, obcą, przybywającą z zewnątrz“.

w Nr. 33, na str. 1071 mylnie podano tytuł artykułu. Powinien brzmieć: „Stosunki etnograficzne“.

w Nr. 34, na str. 1103 w drugiej kolumnie w artykule p. t. „Ludność Rzeczypospolitej Polskiej“ poplątano wiersze 17 i 18-y od dołu. Odnośny ustęp po kropce, w wierszu 18-ym od dołu, winien brzmieć: „W b. zaborze austriackim spisów dokonywano również co lat 10, ale prowadzono mniej dokładną statystykę ruchu ludności. Wreszcie, w b. zaborze rosyjskim spisów perjodycznych nie dokonywano wcale, zarządzając tylko sporadyczne spisy jednorazowe, z których

ostatni przeprowadzono w r. 1897.

„Statystykę ruchu ludności w b. zaborze rosyjskim prowadzono w sposób nienaukowy, nie dający dosyć poważnych rezultatów“.

w Nr. 35, na str. 1135 w pierwszej kolumnie w 1-ym wierszu od dołu winno być zaznaczone: „Podaje tablica, umieszczona w poprzednim numerze“;

na str. 1136 w pierwszej kolumnie w wierszu 40-ym od góry, zamiast liczby 30.000 winna być liczba 300, a na tejże stronnicy, w kolumnie 2-iej, w wierszu 6-ym od dołu po słowie „lat“ opuszczono słowo „czterdziestu“.

w Nr. 36 w artykule p. t. „Stosunki narodowościowe“ przez pomyłkę pomieszczono tablicę, ilustrującą stosunki wyznaniowe—tablica ta winna się znaleźć w Nr. 37. Wzamian, tablica z Nr. 37, ilustrująca stosunki narodowościowe, dotyczy artykułu, zamieszczonego w Nr. 36 i ponadto, w tablicy, ilustrującej stosunki wyznaniowe, zatarł się napis pod dolnym kołkiem z prawej strony, winien on brzmieć: „w m. Poznaniu“.

## OD GRUŻLICY DO PSZENICY

(*Garść wrażeń z Targów Wschodnich*).

Targi Wschodnie nie mają już tego kuszącego puszkę świeżości, jaki je krasił pierwszego roku ich istnienia. Straciły aureolę. Wprawdzie rozmiłowany w nich Lwów zawsze jeszcze patrzy na nie, jak na kochankę młodości, ale dzisiaj jest to już kosztowna dama serca, nieco szarpnięta zębem czasu, która więcej bierze niż daje i która przytem wymaga oprawy.

W tym roku aż cztery kolje zarzucił jej na szyję jej kochanek, cztery wystawy, na które złożyły się wszystkie niemal dzielnice Polski. Najdostępniejsza z nich i najbardziej pociągająca zarówno dla hodowców jak dla amatorów—to wystawa drobiu i królików, gdzie królują ślicznie upierzone gołębie, imponujące koguty, rasowe kury i barwne futerka królików, mogące śmiało naśladować nietylko gronostaje i popielice, ale nawet nurki i krety. Nietylko bowiem sztuka naśladowuje naturę, ale natura naśladowuje sztukę, co można zaobserwować i w świecie króliczym. Zresztą poza tym wildowskim aforyzmem nie spotyka się na tej wystawie nic osobliwego, a wzorowy kurnik za 300 złotych nie robi wyłomu w chińskim mu-

rze państwa kurzego, może go zrobić jedynie w kieszeni nabywcy.

Wystawa przeciwgruźlicza jest urządzona przejrzyście i przekonująco. Widać, że organizatorowie wiedzieli, czego chcą i szli konsekwentnie po linii propagandy, którą dzielą między siebie uroczę pielęgniarki narówni z odrażającami, wykrzywionemi przez gruźlicę kośćcami suchotników.

O wystawie drogowej nie mogę wydać sądu, bo nie jestem fachowcem. Zaznaczam jednak, że pomysł wybrukowania jednej ulicy sąsiadującami ze sobą próbkami kamieni kostkowych wart był, aby go zastosować i do innych eksponatów rozproszonych po całej wystawie w chaotycznym nieporządku. Coprawda ten sam chaos panował na wystawie dekoracyjnej w Paryżu, gdzie polskich eksponatów trzeba było szukać w kilku odrębnych działach, ale tam było to do darowania, przy natłoku wszelkich nacji, które ustawicznie potrącały się łokciami.

Tutaj zaś, na targach, imprezie czysto handlowej, która właściwie jest wystawą prób i wzorów,

umiejętna ręka organizatora powinna skupiać ekspozycje w grupy i działy pokrewne, aby ułatwić zwiedzającemu orjentowanie się w nawale materiałów i umożliwić mu dokonanie porównań i zestawień, nieodownych w celu wyprowadzenia ostatecznego wniosku i decyzji.

Naprzekąd dział tkanin, najbardziej interesujący dla kobiet, jest w zupełnej rozsypce. Gdzieś w jakimś pawilonie pyszną się ljońskie materje, strzeżone przez oliwkową dziewicę w zielonej sukni. Przyczem dziewica jest tak oliwkowa, że może ująć nie tylko za francuskę, ale nawet, za kreolkę, a suknia tak zielona, że może pochodzić z samych Nalewek.

W innym zakątku rozsiadły się perskie dywany i tureckie hafty. Ale kto widział wystawę wschodnich kobierców u Baryczków, a nawet poprostu wewnątrz któregoś z naszych „domów sztuki“, ten nawet patrzeć nie zechce na tę nędzotę.

Kilimów nie trzeba szukać. Są wszędzie, narzucają się z całą bezczelnością nieprawdopodobnych barw i deseni, czy to jako dekoracja, czy to jako ekspozycje poszczególnych wytwórni, głównie małopolskich. Więc mamy kilimy gliniańskie, godne zalecenia dzięki swej taniości i niepretensjonalnemu smakowi, kilimy p. Zachowej z Zakopanego, kilimy Izby przemysłowej lwowskiej, z których każdy jest z odmiennej parafji, gdyż nosi piętno pomysłu i wykonania rozmaitych kompozytorek. Zawędrowały tu i barwne pasiaki łowickie. Najbardziej interesująco przedstawiają się kilimy kopjowane ze starych, albo wzorowane na motywach ze słuckich pasów.

Zresztą nie tylko rewelacji, ale nowości wybitnych w tej dziedzinie brak. Szkoda, że Przemysł Ludowy z Tamki świeci nieobecnością, a jeżeli jest, to go odszukać nie zdołałam. Jest to luka nie do darowania, Co podziwiał Sztokholm, może zobaczyć i Lwów. Przybysze z całej Polski mogliby się czegoś nauczyć.

Bo pamiętać trzeba, że ten wielki doroczny jarmark powinien być nie tylko okazją do wypicia nieskończonej ilości gratisowych kufli piwa Okocimskiego i filiżaneczek czarnej kawy z „Expressu“, ale że wobec tych tłumów pół i ćwierć inteligencji ściągających tu co dnia pod hasłem „panem et circenses“ czyli po lwowsku „precel i karuzela“, odegrać rolę wychowawczą - kulturalną.

Tak swoje zadanie pojęła wystawa przeciwgruźlicza, krocząca drogą zdecydowanie popularyzatorską. Nie umiała się zdobyć na ten krok demokratyczny architektura. Pozostała sztywną arystokratką, która nawet wtedy, gdy buduje domy dla nędzarzy, nie zadaje się z tłumem. A szkoda, bo rzesze zgłodniałe czekały na jej władcze i zbawienne słowo.

Każdy przeciętny inteligent wpadał do zimnej, pustej, zawsze bezładnej szopy w nadziei, że tu znajdzie klucz do upragnionego domu przyszłości. do tego zaczerpniętego pałacu, w którym wolno mu będzie jeszcze przed śmiercią trochę pomieszkać i — znajdował co? Szereg precyzyjnie wykonanych projektów, zrobionych dla sądu konkursowego, a zatem niemych dla laika, żadnego żywego słowa, jak kania dżdżu. Trzeba było, drodzy panowie architekci, jeszcze trochę odżałować i postawić na zmianę jakiegoś studenta, któryby prostaczkom wytłumaczył te znaki runiczne, symbolizujące siłę twórczą budowniczych jutra i dał im nitkę Arjady, którąby ich wyprowadziła z tego labiryntu pomysłów, może bardzo zdrowych, trafnych i szczęśliwych, ale niestety... niezrozumiałych. Przypadkowo zabłąkany w tym zakładzie głuchoniemych laik wychodził z pełnym przygnębieniem poczuciem bezradności własnej i niemocy architektonicznej.

Z tym większym zapalem szedł zalać robaka do olbrzymiej wieży Baczewskiego, do ciekawie pod względem dekoracyjnym skomponowanego pawilonu Okocimia, lub pod gigantyczną łagiew, którą chyba same cyklopy zbiły z klepek na cześć Bachusa. Gdy się człowiek znajdzie na tym placyku, poświęconym kultowi trunku, ma się wrażenie, że jednak Polska jest klasycznym krajem pijaków. I z tą pieczęcią alkoholizmu na czole, z niezatartą jeszcze wizją gruźliczych deformacji pod czaszką wkraczasz na plac zabaw, gdzie muskularny baciarz lwowski wali co sił w mordę wielką niemiecką kukłę z opuchłą gębą, człowieka „którego biją po twarzy“, maskarę jarmarczną z cyferblatem, pokazującym punkty wybite. Więc nic lepszego nie można było wymyśleć dla uciechy tłumów? źle z wami, bracia Lwowianie! Pokaż mi, jak się bawisz, a powiem ci, kim jesteś.

W danym wypadku egzamin wypadłby mocno niefortunnie. Na pociechę mówią nam, że park zabaw został wydzierżawiony obcemu przedsiębiorcy. Tem gorzej. Należało jednak cudzoziemskiemu przybłądzie nałożyć kaganiec, lub dać zażyć kacapsko-pruską odtrutkę.

Sytuację ratuje jedna, ale zato rzadka i nieoczniona cnota Lwowian: ich przysłowiowa uprzejmość. Największym zmartwieniem dla Lwowiaka jest, gdy osoba, której wskazał drogę, poszła w niewłaściwym kierunku. Gotów biec za nią przez całe miasto, gotów zostawić rozpozętą butelkę z przyjaciółmi, opuścić umierającą teściową, aby dogonić przyjeżdżającą gapię i zamiast ją zbesztać od ostatnich, zwrócić jej w najbardziej wersalskich zwrotach uwagę, że droga na Wały Hetmańskie niekoniecznie prowadzi przez Łyczaków.

Na Targach Wschodnich tylko jedna osoba była dla nas niegrzeczna i ta... Wielkopolanka. A stało się to tak. Na jednym z kramów wystawowych rzucał się w oczy napis: Fabryka biczysk z popędem motorowym.

Zastanowiły nas te „biczyska z popędem motorowym“ i gdyśmy głośno wyrazili nasze zdumienie, a nawet chęć zobaczenia tych cudów mechaniki, sroga jejmość robiąca pończochę za ladą wybuchnęła oburzeniem:

— To nie biczyska, ale fabryka z popędem motorowym. Trzeba naprzód myśleć, a potem mówić.

Spojrzelismy na szyld! Jak drut stało: „Bydgoszcz“. Pacyków sprawił nam prawdziwą niespodziankę. Wprawdzie poraż setny powtórzył swoje małpy, sowy, i marabuty, ale zato wypuścił w świat całe rzesze drobnych, estetycznych, miłych i przeraźliwie tanich pamiątek z Targów. Już za dwadzieścia groszy można kupić słoniu, małpkę, smoka ze swojskiego fajansu i uradować serce małej kuzyneczki, zbierającej „na szczęście“ przeróżne potworki.

A wreszcie krótkie, ale głębokie westchnienie ulgi. Wchodzimy do pawilonu rolniczego i od razu toniemy w zbożu. Można tu się naocznie przekonać, jakim cudownym, a jeszcze niewyzyskanym motywem dekoracyjnym jest kłos. Uwite z pszenicznej bursztynowej słomy girlandy przewieszono przez balustradę, jak olbrzymie rude lisy. Bukiety z całych kłosów strzelają w górę jak fontanny tokaju. Na ciemnych tłach poukładano witrażowe desenie z kęp zboża wyrosłych z jednego ziarna.

Czuje się, że jesteśmy w kraju rolniczym, który ziemię kocha, a zboże ceni nie tylko jako dar boży, ale jako złotą tej ziemi krasę i koronę. Blednie przy niej Baczewski, giną we mgle zapomnienia, błędy, niedociągnięcia i przeoczenia Targów. Zostaje zapach zboża.

Stefanja Podhorska-Okotów.

## RENESANS POLSKIEGO PSZCZELNICTWA

Kraj nasz był ongi — pisze poeta — „jak zastawiony dla gości stół, różnowzorowym kryty kobiercem, na nim chleb biały i sól i miód..“

■ Miody polskie były sławne; eksportowano je do dalekich krajów.

Po utracie przez Polskę państwowego bytu, produkcja polska we wszystkich dziedzinach skurczyła się. Niepokoje, rozruchy, wojny, częste zmiany właścicieli większych i mniejszych obszarów, na skutek konfiskat i wysiedleń, a nadewszystko ogólny brak troski ze strony rządów zaborczych o rozwój gospodarczy rozdartych dzielnic, wreszcie samo to rozdarcie naturalnego gospodarczego terytorjum i pokrajanie go kordonami, zamykającymi naturalne drogi komunikacyjne, przyczyniało się do nowego upadku gospodarczego na wszystkich polach. Nie uniknęło tego i pszczelnictwo. Złoty owad potrzebuje spokoju, pogody i wolności.

Wielka burza wojenna ostatnich lat dopełniła miary zniszczenia pszczelnictwa polskiego. Obecnie dźwiga się ono z wiekowego upadku i odradza bardzo szybko. Gdy w roku ubiegłym liczone na całym obszarze Państwa około 700 tysięcy pni pszczelnych, obecnie liczba ta wzrosła do miliona przeszło. Licząc przeciętny dochód z każdego pnia na 15 kilogramów miodu, otrzymamy jako rezultat produkcji tegorocznej 15 milionów kilogramów tego cennego produktu. Wszystko to zużywa rynek wewnętrzny. Miodu nie eksportujemy zagranicę. Przeciwnie, zużywamy nawet pewną ilość miodu zagranicznego,

A mogłoby być inaczej. I mogłoby pszczelarstwo stać się doskonałym polem pracy dla inteligentnych kobiet, tak beznadziejnie tłoczących się do biur i kantorów. Rozpatrzmy tę sprawę ze wszystkich stron.

Najbardziej miododajne tereny w Polsce to Wołyń i Wschodnia Małopolska. Na Wołyniu spotykamy jeszcze wielkie pasieki, liczące po 1000 pni, a mianowicie w powiatach Krzemienieckim i Rówieńskim. Jedną z największych posiadają rusini prawosławni w Poczajowie. Leżąca pod Wiśniowcem kolonia Puchowa ma również 1000 pni pszczelnych. Z ziem dawnej Kongresówki najwięcej miodu produkuje województwo Lubelskie i okolice gór Świętokrzyskich. Pomorze i Wielkopolska nie są krajami miododajnymi.

Przyczyna tkwi do pewnego stopnia w wyższej kulturze rolniczej tych prowincyj, ale także i w pewnym zaniedbaniu tego działu gospodarki, który za czasów przedwojennych przeszedł był tam przeważnie w ręce kolonistów niemieckich, a wraz z ich ustąpieniem podpadł znacznie.

Ruch w naszym świecie pszczelarstwie jest w ostatnich czasach bardzo ożywiony. Mający siedzibę w Warszawie (Miodowa 14). Naczelny Związek Towarzystw pszczelarstwach Rzeczypospolitej nie ustaje w pracy nad propagandą i podniesieniem do możliwie najwyższego stopnia doskonałości pszczelnictwa polskiego.

Organ jego, miesięcznik „Pszczelnictwo Polskie“ jest pismem, nawet dla profana niezmiernie interesującym. Prowadzone żywo, ilustrowane, popularyzuje umiejętnie naukę o pszczole, jej życiu, chorobach i szkodnikach, daje wskazówki, dotyczące hodowli pszczoły, zbierania i przechowywania miodu, informuje o pracy zagranicznych pszczelarzy itd. itd. Poza tem, jednak daje się wy czuć brak po-

dręcznika przeznaczonego dla szerokich kół hodowców.

Wobec wyczerpania „Bartnictwa“ dr. Ciesielskiego, wobec tego, że inne kursujące jeszcze broszury są, albo do pewnego stopnia już przestarzałe, albo zbyt popularnie traktują przedmiot, książka taka mogłaby z pewnością liczyć na zbyt. Książka taka istnieje nawet, ale najostrożniejsi z ludzi, wydawcy, nie decydują się na jej wydrukowanie. Jest to monografia ks. Ciborowskiego p. t. „Pszczoła i Pasieka“. Czynniki kompetentne wyrażają się o tem dziełku z najwyższymi pochwałami.

„Dzieło to jest wyjątkowe w naszej dziedzinie pisze — Okręgowe Tow. Pszczelnicze Warszawskie i zdolne nauczyć przedmiotu znaczną część społeczeństwa, co jest nieodzownem w obecnym okresie odbudowy pszczelnictwa polskiego. Nie mamy w Polsce równie dobrego podręcznika“. „Książka ta — twierdzą dalej — nietylko przyczyni się do podniesienia pszczelnictwa w kraju, lecz z powodu bogactwa treści, oryginalności w ujęciu tematu i obfitości ilustracji, przeważnie z anatomji pszczoły, zastąpi wyczerpany atlas Girdwojnia, na cały świat sławny i przysporzy sławy nauce polskiej“.

I oto na pracę taką nie można znaleźć w Polsce nakładcy.

Autor zwrócił się do Ministerstwa Rolnictwa z prośbą o subsydjum. Być może czynniki państwowe w uznaniu takiej monografji pomocy udziela. Jest to tem prawdopodobniejsze, iż rząd nasz docenia wartość pszczelnictwa w takim nawet zakresie, jakiego przeciętna publiczność się nie domyśla, mianowicie, gdy chodzi o podniesienie poziomu moralnego jednostek i przywiązanie ich do ich siedzib. Przed wojną jeszcze zrobiono w Austrii doświadczenie, że dróżnicy kolejowi, hodujący pszczoły w swoich małych ogródkach, nie uczęszczają do szynkowni, zaabsorbowani pracą w ulach. Skutkiem tego w rejonach obsługiwanych przez dróżników-pszczelarzy zmniejszyła się bardzo wydatnie ilość katastrof kolejowych.

Opierając się na tem doświadczeniu, nasze władze kolejowe uruchomiły t. zw. „wagon pszczelny“ zaopatrzone we wszelkie materiały i pokazy do pogadanek o pszczelnictwie. Wagon ten wiezie prelegentów, którzy na miejscach postoju wygłaszają popularne odczyty z dziedziny pszczelnictwa. Ta ruchoma katedra objechała już Pomorze i Wielkopolskę, w lecie krążyła po województwach wschodnich, a ku jesieni udać się ma na Wołyń i do Małopolski. Chodzi przede wszystkim o zachęcenie służby kolejowej do hodowli pszczoł, ale wykłady dostępne są dla wszystkich.

Poza też popularyzacją wędrowną, istnieje cały szereg kursów i wykładów pszczelarstwa. W Warszawie Tow. Pszczelniczo — ogrodnicze (Wiejska 12) prowadzi dwa rodzaje kursów, roczne i trzymiesięczne. We Lwowie pszczelarstwo wykładane jest na politechnice i w instytucie weterynaryjnym. W Krakowie są roczne Kursy ogrodniczo-pszczelnicze itd. Centr. Tow. Rolnicze, Kółka rolnicze i inne instytucje w tym rodzaju szerzą wiedzę o pszczole i pożytkach, które daje. Na skutek tych wszystkich usiłowań zainteresowanie pszczelnictwem wśród drobnych rolników, wśród osadników wszelkiego rodzaju, wzrosło w ostatnich czasach nadzwyczajnie. Już nie ulega wątpliwości, że jesteśmy pod tym względem na dobre;

drodze. Ruch organizacyjny jest również silny. Naczelny Związek Towarzystw pszczelniczych skupia tysiąc kilkaset stowarzyszonych.

Powstały też kooperatywy pszczelnicze „Pszczola”, we Lwowie i „Barć” w Warszawie. (Miodowa 14) Dostarczają one pszczelarzom wszelkich narzędzi i przyborów potrzebnych przy hodowli, a jednocześnie pośredniczą w sprzedaży miodu i wosku, gwarantując kupującej publiczności, że miód jest niezafałszowany, a tem samem niepozbawiony tych odżywczych i leczniczych właściwości, jakie mu przypisuje wiedza współczesna. Czy hodowla pszczół dawać może duże zyski? Zdania co do tego są podzielone. Na szpaltach „Pszczelnictwa” toczy się nawet żywa polemika w tej kwestji. Gdy jedni dochód z pasieki liczącej 50 pni obliczają na 1500 zł. rocznie, inni twierdzą, że pszczelnictwo — to loterja, że w naszym klimacie na 6 lat jeden trafia się rok przyjazny dla pszczół itd.

Ale poza bezpośrednim zyskiem, z hodowli rojów pszczelnych wynikającym, pszczoła niesie zysk pośredni przez zapylenie zalążków kwiatowych u bardzo wielu roślin i drzew owocowych. Dokonywane w Ameryce eksperymenty dowiodły niezbicie, że dla niektórych roślin pszczoły są niezbędnym, dla innych bardzo dodatnim czynnikiem zapłodnienia. Dlatego to w każdym sadzie owocowym powinno się mieć choć kilka ulów z pszczołami.

Wiedzą o tem sadownicy i dziś już ci co nie chcą zadawać sobie kłopotu z hodowlą pszczół, wypożyczają na czas kwitnienia drzew owocowych ule z pszczołami i rozstawiają je w różnych punktach sadu. Eksperymenty, dokonywane w Ameryce, wykazały, że na 180 akrach śliw, plon owocu wzrósł o 100 ton, gdy do sadu wprowadzono pszczoły.

Upowszechnianie się tych wiadomości i coraz bardziej wzrastająca tendencja do uprzemysłowienia naszej gospodarki rolniczej wytworzą niewątpliwie zapotrzebowanie na instruktorów pszczelnictwa i hodowców pszczół.

Zajęcie — bardzo odpowiednie dla kobiet.

Już dziś garną się one do niego i na Kursach pszczelniczo-ogrodniczych w Warszawie spotyka się na 50 słuchaczy 48 kobiet. Są to jednak przeważnie właścicielki obszarów rolnych i ogrodów, które pragną u siebie prowadzić racjonalnie hodowlę pszczół. Zawodowczyń w tej dziedzinie jest jeszcze niewiele, jakkolwiek już przed wojną notować można było próby w tym rodzaju. Tak np. w pasiece ks. Sanguszkii na Wołyniu, liczącej 1000 pni i prowadzonej wzorowo, „dyrektorką” była młoda inteligentna panna.

Niech czytelniczki, nasze przy wyborze zawodu i o tej pracy pożytecznej, milej, jak twierdzą jej zwolennicy, szczególnie podnoszącej ducha, pomyślą. C. r.

## METALOPLASTYKA

### OKSYDOWANIE

Gdy już cała blacha wytłoczona i deseni wypełniony, zabieramy się do oksydowania. Oksydowaniem nazywamy nadanie metalowi pewnej patyny, gdyż metal o gładkiej, jednostajnej, błyszczącej powierzchni jest brzydkim i przykrym dla oka.

Do oksydowania blachy cynkowej należy sobie przygotować roztwór dwuchromianu potasu i rozcieńczony kwas azotowy. Na płócienny gałganek nalewa się trochę dwuchromianu potasu i równo naciera tem całą blachę, następnie, na ten sam gałganek nalewa się rozcieńczonego kwasu azotowego, znowu bardzo równo wciera po całej blasze, która pod wpływem azotu mocno zczernieje. Trzeba uważać, żeby równo całość natrzeć, następnie suchym gałganikiem mocno wytrzeć. Gdy patyna wyschnie, wziąć miękką szczoteczkę, umoczyć ją w wodzie, potem w proszku pomeksu i lekko całą blachę przetrzeć, wodą zmyć proszek, wytrzeć i najbardziej wypukłe miejsca w deseniu oczyścić trochę maścią do czyszczenia metali, żeby nabrały blasku. Chcąc, żeby przedmiot z czasem nie oksydował się silniej pod wpływem powietrza, można po wykończeniu patyny powerniksować blachę specjalnym werniksem, który do blach gotowy sprzedają. Kwasy do oksydowania można też dostać gotowe.

Do blachy mosiężnej i miedzianej należy kupować gotowe patyny, które różne odcienie blasze nadają, są takie, które oksydują blachę na brązowo, inne na zielono, czerwono.

Mosiężną blachę należy przed oksydowaniem obmyć spirytusem, potem wziąć patyny na gałganek i starannie, równo całość nacierać, aż nabierze pożądanego odcienia, gdy wyschnie również na mokro szczoteczką i pomexsem przeczyszczyć, a potem oczy-

ścić wypukłości maścią. Do srebrnej blachy jest osobna patyna. Można również blachę potem powerniksować, chodzi tylko o to, żeby bardzo cienką warstwą werniksu pociągnąć.

### WYCINANIE

Wytłoczone metale można też wycinać odpowiednio do użytku, jaki chcemy z danej blachy uczynić.

Głównie wycina się metal przy zastosowaniu do szkła, przy teczkach, ramkach, ale nieraz i przy ozdabianiu przedmiotów z drzewa.

Należy na wytłoczoną, wypełnioną i zoksydowaną blachę położyć po stronie wylanego wosku kawałek bibułki, póki jeszcze wosk ciepły, lub też odrobinię go nagrzać, żeby papier przywarł.

Do blach przeznaczonych do naklejania na szkło, używa się zamiast bibułki po lewej stronie, cieniutkiego srebrnego papieru (takiego, jak używa się do zawijania czekolady lub herbaty) i papier ten przykleja się syndetikonem do blachy. Wycina się dopiero wtedy, gdy syndetikon wyschnie.

Gdy już blacha przygotowana do wycinania, kładziemy ją na szkło i po prawej stronie nożykiem tniemy po linii pierwotnego rysunku, uważając dobrze, żeby nie naciąć deseni, szczególnie przy krzyżowaniu się linii.

Należy zacząć wycinanie od najmniejszych przesłoni między deseniem, przechodząc następnie do coraz większych. Jeżeli zewnętrzny kontur motywu powinien być wycięty, to można to uskutecznić zakrzywionymi nożyczkami, ale, gdy już cały desień wewnątrz jest wycięty.

Oprawiając przedmiot, należy wycięte brzegi spatulą przejść, by je do przedmiotu równo przycisnąć.

## OPRAWIANIE KAMIENI

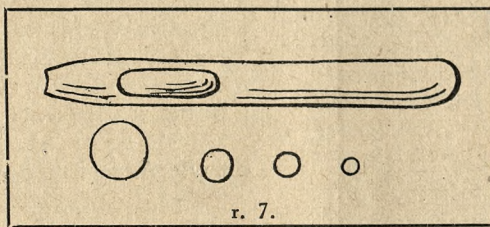
Metale, oprócz wytłaczania, ozdabiamy jeszcze kamieniami, gdy się deszeń do tego nadaje.

Należy wtedy mieć odpowiedni kamień obrysowany po prawej stronie metalu i nie należy tego miejsca tłem wypełniać.

O ile kamienie, które zamierzamy oprawić, są okrągłe, to mamy specjalne narzędzia (Nr. 7 rysunku) o różnej wielkości otworach, do wybijania dziurek. Narzędzia te używają także rymarze do skór, łatwo więc można je dostać. Otwór musi być mniejszy od kamienia, żeby blacha mogła jeszcze utworzyć oprawę.

Chcąc wybić dziurę, kładziemy metal na tekturę, naturalnie nie na tę, na której pracujemy, lewą stroną do góry i mocno równo uderzając, wybijamy odpowiedni otwór, potem spatulą podnosimy trochę brzegi i oprawa skończona.

Naturalnie przed wybicciem otworów, trzeba wymierzyć, które narzędzie do danego kamienia pasuje. Jeśli posiada się tylko jedno narzędzie o niewielkim otworze,



a mamy do oprawy duży kamień, to trzeba tym narzędziem wybić otwór, brzegi podnieść spatulą i wtedy zakrzywionymi nożyczkami brzegi obciąć, póki nie otrzymamy potrzebnego otworu. Czynić to trzeba bardzo ostrożnie, przykładając raz po raz kamień, żeby otworu zbyt wielkiego nie wyciąć, bo na to już rady niema a zawsze trzeba o tem pamiętać, że otwór musi być mniejszy od kamienia.

Jeżeli nie posiadamy odpowiedniego narzędzia do wybijania otworów, radzić sobie musimy w inny sposób: kładziemy wtedy blachę na szkło i po prawej stronie nożykiem wycinamy potrzebny otwór. Chcąc to dobrze wykonać, trzeba nożyk mocno nacisnąć, a potem tylko blachę obracać. Żeby równo dziurkę wyciąć powinien nożyk prawie nieruchomo stać — pamiętać tylko zawsze należy o tem, żeby otwór był mniejszy od narysowanego kółka.

Gdyby po wycięciu okazały się jakieś nierówności w brzegach, to trzeba je ostrożnie nożyczkami przyciąć. (c. d. n.)

## REFORMA GOSPODARSTWA KOBIECEGO

Omawiając różne zagadnienia, związane z klasyfikacją, nie sposób pominąć kwestji, zaniebdwanej przez większość gospodyń: uporządkowania recept kucharskich, pożytecznych przepisów, wyczytanych w księgach i pismach, wreszcie wyników własnych i cudzych doświadczeń. Zazwyczaj gospodyni posługuje się jedną, lub paroma książkami kucharskimi, z których czerpie potrzebne jej wiadomości. Książka taka, choćby jaknajlepsza, musi grzeszyć właściwymi każdej książce usterkami. Z większości przepisów nigdy nie korzystamy, innych natomiast brak i te dopisuje się nieraz na marginesie książki; zaopatrujemy też tę ostatnią na stronicach najczęściej czytanych, w t. zw. „ośle uszy“. Sapienti sat. Reszta recept kucharskich, oraz wszelkie przepisy z innych dziedzin gospodarstwa kryją się po rozlicznych szufladkach i nie można ich nigdy znaleźć w razie potrzeby. Są to przeważnie skrawki zapisanego papieru i wszelkich kształtów wycinki z gazet. Wreszcie całą masę praktycznych przepisów trzyma gospodyni „w głowie“, którą wypada nieraz dobrze pomęczyć, zanim przypomni sobie proporcję jaj, masła i mąki i t. p. Niekiedy zaczerpnięto pierwotnie przepis z jakiegoś artykułu pisma kobiecego; trzeba więc w razie zapomnienia wertować stare roczniki, tracić godziny na odszukanie parowierszowej wskazówki. Wadliwość tego systemu bije w oczy.

Biura, w swem dążeniu do racjonalnej organizacji, zerwały już oddawna z systemem książkowym i zastosowały kartoteki. Powinniśmy iść za ich przykładem. Wszelkie spostrzeżenia, rady praktyczne przyjaciółek, wskazówki zawarte w pismach kobiecych, a nawet najwięcej używane przepisy książki kucharskiej, należy przepisać na kartkach jednego formatu i przyjąwszy pewną klasyfikację, umieścić w odpowiedniej wielkości pudełku. Kartki muszą być sztywne, np. z bristolu

linjowanego, lub kratkowanego. Po lewej stronie umieszczamy tytuł recepty (np. szarlotka, łapanie oczek, łupież), po prawej zaznaczamy działły i podziałły, oraz Nr działły i Nr porządkowy (np. sztuka kulinarna — przyrządzenie potraw — 641,2; pielęgnacja ciała — włosy — 646,6). Tym sposobem możemy natychmiast odnaleźć kartkę i odłożyć ją na swoje miejsce po użyciu. Umieszczamy kartki pionowo w pudełku odpowiedniej wysokości, zaopatrzonym w pokrywkę oddzielną, lub lepiej jeszcze, przymocowaną z jednej strony, ale zupełnie się otwierającą. Przedzielamy kartki nieco wyższymi, nieraz kolorowymi kartonikami z tytułami rubryk.

Najlepiej, o ile się rozporządza środkami, kupić kartotekę z kartkami. W biurach używają dużych kartotek drewnianych, o wygórowanej cenie (około 60 zł. szt.) lub tańszych metalowych (w Warszawie jeszcze tych ostatnich nie widziałam); do naszego celu wystarczą kartoteki z tektury i płótna. Widziałam kartoteki do kartek rozmiaru  $7\frac{1}{2}$  cm. x  $13\frac{1}{2}$  cm.; cena kartoteki na 500 kartek wynosiła 14 zł. 50 gr., na 1000 kartek — 19 zł. 50 gr.; 100 kartek kosztowało 20 zł. 80 gr. Cena 100 kartek rozmiaru  $10\frac{1}{2}$  x 15 cm. wynosiła 3 zł., zaś odnośnej kartoteki na 500 kartek — 19 zł. 50 gr. Do kartek dołącza się podziałki alfabetyczne, nieodpowiednie do naszego celu; sądzę jednak, że każdy drukarz wykona za nieznaczną opłatą napisy na kartonikach.

Francuskie kartoteki są o wiele tańsze, np. „Mon chez Moi“ sprzedaje je w cenie 9 fr. 75 c., lub 20 fr. (zależnie od wykonania) na 800 kartek. Kartki mają wymiar  $9\frac{1}{2}$  x  $12\frac{1}{2}$  cm., podobno uniwersalnie przyjęte; czyżby nie stosowano się u nas do ogólnych norm w tym względzie? Byłoby to bardzo niepraktyczne. Kartoteki „Mon chez Moi“ zawierają następujące rubryki: Pożywienie (ciasta, jadłospisy, przekąski, kuchnia, kon-

serwy, konfitury, napoje), dzieci, medycyna i higiena, roboty ręczne (na drutach, szydełkowe, hafty, bielizna, koronki), odzież, wygody, dom (oczyszczanie, konserwacja), ogród.

Co więcej, od roku „Mon chez Moi“ drukuje arkusze formatu tego pisma, zawierające pięć gotowych kartek i wysyła je oddzielnie za opłatą 10 centymów od recepty, lub razem za prenumeratą 5 fr. rocznie. Tym sposobem zaoszczędza w wielu wypadkach mozolnego nieraz przepisywania przepisów, trudnego zwłaszcza przy niedużym formacie kartek<sup>1)</sup>.

P. Fr. stosuje trochę inny system. Dzieli ona swoją kartotekę na następujące rubryki:

I) Konta gospodarskie: 1) Towary kolonialne. 2) Mięso. 3) Jarzyny i owoce. 4) Chleb i mleko. 5) Łód. 6) Służba. 7) Pranie, mydło, krochmal. 8) Ogrzewanie, gaz, elektryczność, 9) Dekoracja i reperacje. 10) Lekarstwa i t. p. 11) Dobroczynność i religja. 12) Podróże, przyjemności. 13) Stan kasy. 14) Ogólny przegląd.

Wszystkie wydatki, i t. p. wpisuje się na odpowiednie kartki i odkłada do teki w alfabetycznym porządku. Pod koniec miesiąca wpisuje się sumy na 14-ej kartce;

II) Wykazy gospodarskie: A. Spis członków rodziny (wymiar butów, rękawiczek i t. p.). B. Spis odłożonych części garderoby (nazwa i miejsce przechowania np. letnich rzeczy). C. Spis bielizny. Dla każdej kategorii oddzielna kartka, zawierająca opis, zapomocą skróceń. Należy też nadać każdej sztuce bielizny bieżący numer. Nadto zawiera kartka cenę, datę i miejsce kupna. D. Spis konserwów, konfitur i t. p. E. Zapasy spiżarniane, podane są tu ilości spożywanych produktów, np. cukier — 3 funty tygodniowo. F. Spis urodzin i innych rocznic. G. Spis podarunków.

III) Wykaz książek i nut z rubryką: polecone książki i nuty.

IV) Wykaz chorób z datami. A. Doktor. B. Dentysta. C. Okulista.

V) Adresy: A. Towarzyskie. B. Gospodarskie. C. Inne.

VI) Wskazówki: A. Kosmetyka, B. Higiena dziecka. C. Pielęgnacja kwiatów. D. Zabawy.

VII) Dokumenty: A. Podatki. B. Wykaz dokumentów, przechowanych w banku. C. Rachunki bankowe. D. Rachunki do zapłacenia. E. Rachunki zapłacone. F. Składki i t. p.

VIII) Inwentarz: (Meble, srebra, kosztowności, garderoba...).

Kartoteka kuchenna zawiera wypróbowane i często używane recepty; jest większego nieco formatu; na kartce notuje się skład i sposób przyrządzania potrawy, czas potrzebny do przyrządzenia, do gotowania, na ile osób starczy dana ilość i ile kosztuje. Kartkę używaną w danej chwili przyczepia się z przodu do kartoteki.

P. Frederick stosowała następujące rubryki: Chleb, bułki i t. p. Ciasta. Dziczyzna i drób. Fasola, groch. Jajka, omlety. Jarzyny. Kartofle. Konfitury. Leguminy. Makaron, ryż. Ostrygi. Owoce. Ryby. Pasztesy. Puddingi. Sałaty. Specjalne potrawy (np. złożone z 2 dań (lekkie posiłki). Sosy. Wafle. Wina i poncze. Zupy.

Mięso: a) wołowina, b) mózdzek, c) baranina, d) wieprzowina e) cielęcina.

Marmolada. Jadalospisy.

Wydaje mi się rzeczą wprost zbytęzną podkreślanie przewagi systemu kartkowego nad książkowym. Zniszczone i zbytęczne kartki zastępuje się w każdej chwili nowymi. Wrazie potrzeby, można zmieniać i uzupełniać klasyfikację, porządkując kartki ściśle według wymogów logiki. Można do nieskończoności zestawiać nowe kartki, co jest zwłaszcza doniosłe, gdy chodzi o porządek alfabetyczny adresów. Tym ostatnim należy poświęcić, nawiasem mówiąc, oddzielną rubrykę, lub część każdej z rubryk (np. umieścić adresy krawcowych i modystek w rubryce „odzież“, fryzjera w rubryce „pielęgnacja ciała“).

W kajecie nie sposób utrzymać kolejność według alfabetu, jeśli zapisaliśmy np. Michałowskiego po Makowskim, zmieścimy może między nimi od biedy Michałowicza, ale Małachowskiego już nie wpisujemy; zapisując każdy adres na oddzielnej kartce, unikniemy tej niedogodności.

Felicja Sachsówna.

<sup>1)</sup> Można zresztą umieszczać na kartce tylko sygnaturę danego przepisu np. wycinku z gazety, a sam wycinek trzymać w odpowiedniej tece.

## POMIDORY

Rzadko o czym istnieją bardziej rozbieżne zdania, niż o tej smacznej i pożytecznej jarzynie. Całe dwie szkoły lekarskie — nie poszczególne już fakultety, za i przeciw niej kopje kruszą. Niemieccy lekarze twierdzą, że są one trucizną dla każdego, mającego artretyzm, podagrę i cały szereg pokrewnych chorób, lub chociaż skłonność do nich, każą je wykreślić z codziennego jadłospisu, grożą, w razie nieposłuszeństwa, skróceniem życia. Francuzi odwrotnie przypisują pomidorom lecznicze wprost właściwości i właśnie w wypadkach tych samych, kiedy Niemcy ich surowo zabraniają. I komu tu wierzyć?

W każdym razie właśnie południowe narody, Włosi, Rumuni, mieszkańcy południowej Rosji, spożywający niesłychane ilości pomidorów, są żywi, ruchliwi i nie robią wrażenia ludzi, chorujących na wszelkie „złe przemiany materji“, a Niemcy, przynajmniej ci

połnocni, ocieźali, otyli, zdają się być często dotykani rozmaitemi podagrami etc.

Chyba więc możemy raczej wierzyć Francuzom i spokojnie spożywać pomidory.

Sezon pomidorów świeżych jest u nas dosyć krótki, zaczynają dojrzewać, w najlepszym razie, w lipcu, w końcu września przymrozki warzą dużo jeszcze zielonych owoców, a te zielone, zdjęte wcześniej i dochodzące w inspektach lub szklarni, łatwo się psują i nigdy takiego smaku, ani aromatu, jak dochodzące na krzaku, nie mają. Tem większą rolę w kuchni naszej grają konserwy pomidorowe, bez których już dzisiaj prawie tak, jak bez cebuli, kapusty, włoszczyzny lub kartofli obejść się nie sposób. Na południu Rosji, na Ukrainie, na Krymie, gdzie ludność miejscowa nie jada żadnej zupy, żadnego barszczu inaczej, jak z pomidorami, kwaszą je wprost w dużych becz-

kach, jak ogórki, kapustę lub buraki. Nie jest to wykwinny sposób przechowywania, lecz daje zupełnie dobre rezultaty. Trzeba jednak używać ich obrzynie ilości, aby ten sposób się opłacał, gdyż raz otwarta beczka prędko pleśnieje, kwaśnieje i gorzknieje.

Żeby się konserwa udała, należy przedewszystkiem mieć dobry materiał na nią, — owoce zdrowe i zupełnie dojrzałe i to dojrzałe na krzaku, — a nie zdjęte zielone i potem w inspekcji lub szklarni poddane działaniu słońca. Takie owoce, nie mające ani dostatecznej słodyczy, ani aromatu, dają blade, łatwo gorzknące marmelady, mało wydajne w użyciu i nie dające ani koloru, ani smaku zupom i sosom z nich sporządzanym.

Tegoroczna, ciepła i słoneczna, jesień dała dojrzeć dużym ilościom pomidorów, są one tanie i w dobrym gatunku, co daje możliwość, nawet paniom mieszkającym w mieście, zaopatrzenia swych szpizarni w większe ilości konserw pomidorowych na zimę.

Rozpowszechniony, powiem nawet, rozwieleniony zwyczaj konserwowania pomidorów w osolonej (aż do zupełnego nasycenia solą) wodzie dawał u mnie zawsze najgorsze rezultaty, pomidory zachowywały wprawdzie, do wiosny niemal, śliczny kształt i barwę, działało się to jednak zawsze kosztem smaku i aromatu. Jedna z czytelniczek *Bluszczu* poradziła przekładać tak solone pomidory natką pietruszki, usłuchałam jej rady — pomidory były również pozbawione smaku i aromatu im właściwego, natomiast nabrały charakterystycznego aromatu i nieco cierpkości pietruszki, prób więc w tym kierunku zaniechałam tymczasem, gdyby jednak, która z pań miała jakiś „sekret“ niezawodny solenia pomidorów, może zechce w interesie innych czytelniczek „*Bluszczu*“ ze mną się nim podzielić. Osobiście uważam za dwa najpewniejsze i najlepsze sposoby przyrządzania konserwy pomidorowej następujące:

Bardzo dojrzałe, lecz niezepsute pomidory starannie przetrzeć, usuwając każdą najmniejszą plamkę, udusić w rondlu bez wody, przetrzeć przez włosiane sito, dusić jeszcze w rondlu, aż masa się stanie gęsta, jak sos. Dodać na każde dwa kilo pastylkę benzoesu, rozpuszczoną w łyżce gotowanej wody, wystudzić. To jest przygotowanie zasadnicze pomidorowej marmelady, — dalej można ją albo zlać do suchych, czystych butelek, zakorkować, odrutować lub zawiązać mocnym szpagatem, wstawić w kociołek z zimną wodą, przełożyć sianem, zagotować, gotować na wolnym ogniu dwadzieścia minut. Dać wystygnąć w wodzie, dopiero wtedy wyjąć butelki i trzymać je w zwykłej szpizarni. Lub też tak przyrządzoną, wystudzoną masę składać w kompotjerki i zalewać po wierzchu pechem, jak zwykle kompoty, przyrządzane na zimę.

Oba sposoby dają wyborne rezultaty i, o ile pomidory użyte były świeże i dojrzałe, nie ustępują w niczym, a nawet przewyższają konserwy fabryczne w blaszankach.

Ostatniemi czasy polecano mi kilka sposobów uproszczonych i podobno wybornych konserwowania pomidorów, ponieważ sama je dopiero tej jesieni próbuję, nie mogę ich tymczasem polecić, a podam je tylko dla tych pań, które pomidorów mają za dużo i chciałyby u siebie te łatwe i tanie sposoby wypró-

bować, — za rezultaty prób nie biorę jednak na siebie odpowiedzialności.

Pierwszy z nich polega na tem, aby pomidory całe wraz ze skórkami i ziarnkami przepuścić przez maszynkę, na pół puda (osiem kilo) tej masy surowej dodaje się jedno deka (dziesięć gramów) kwasu salicylowego, napełnia suche, czyste butelki aż po sam korek, mocno korkując, szyjkę z korkiem macza w parafinie lub pechu, aby powietrze dostępu nie miało. Podobno tak przyrządzone pomidory trwają bez zmiany koloru i smaku do lipca roku następnego. Drugi sposób: Dojrzałe pomidory porwać na kawałki i składać w butelki, mocno utrzęsając, aby pustych miejsc nie pozostawało, butelki mocno zakorkować, obwiązać korki szpagatem, gotować w kociołku z wodą, przełożone sianem, licząc od chwili zagotowania czterdzieści minut, wyjmować z wody po zupełnym jej wystygnięciu, aby butelki nie popękały.

Poza konserwami z dojrzałych pomidorów, dobre są pikle z zielonych, najmniejszych, twardych pomidorów, robi się je dwojako — na ostro, jak wszelkie inne pikle lub korniszony, lub na słodko na sałatę do pieczystego, traktując tak, jak gruszki lub śliwki marynowane w lecie, przyczem każdy pomidor przetyka się paskiem skórki cytrynowej, goździkiem, lub paseczkiem cynamonu. Zupełnie wyrośnięte, lecz zielone pomidory należy jesienią zakwasić, jak ogórki, z koprem, liściem wiśniowym i dębowym. Aby stały się jadalne potrzebują więcej czasu, niż ogórki, używać je można dopiero po trzech tygodniach lub miesiącu po osoleniu, są od ogórków trwalsze znacznie i można je w chłodzie przechować do stycznia, w smaku też ogórki przewyższają. Należy uważać, aby brać pomidory bez plam pleśniowych i nieprzemarznięte. Poza temi konserwami na gust europejski, Ameryka zużywa całe masy ostrych sosów i przypraw pomidorowych, noszących wspólną nazwę „catschup’ów“. Jedna ze współpracowniczek „*Bluszczu*“, zapewne dłuższy czas w Ameryce zamieszkała, podała przed kilku miesiącami różne przepisy tych przysmaków. Nie sądzę, aby większość z nich przypadła do naszego gustu i smaku, pozatem są one stanowczo, przy częstem ich użyciu, szkodliwe dla zdrowia. Do wszystkich poza pomidorami wchodzi ogromne ilości papryki, imbiru, pieprzu i innych ostrych korzeni i przypraw. Sądzę więc, że mało się na nie znajdzie amatorów, — przypominam sobie jednak, że kiedyś, u nieodżałowanej i niezastąpionej pamięci *Ćwierciakiewiczowej*, znalazłam przepis „catschup’u“, którego, niestety, nie posiadam, ale wykonany dokładnie, dał smaczny, ostry sos, zastępujący doskonale kupny „cabul“ do zimnego mięsa.

*Pani Elżbieta.*

## PRZEPISY GOSPODARSKIE

### WYBORNĄ KASZĄ MANNA.

Dziesięć szklanek niezbieranego, świeżego mleka wstawić w garnku glinianym, ogniotrwałym, w piec i gotować wolniutko, wciąż zbierając formujące się kożuszki i odkładając je oddzielnie. Gdy się mleko do połowy wygotuje, wsypać w nie pół szklanki kaszy manny, (grubszej, najlepszej, bez mąki), ugotować, do-

**Dr. J. ŚWITALSKA**

POWRÓCIŁA I ORDYNUJE W CHOROBAH SKÓRNYCH, KOSMETYCZNYCH I WENERYCZNYCH, WYŁĄCZNIE DLA KOBIET, OD 5-7.

KRUCZA 31, TELEFON 102 - 77.

dać łyżkę śmietankowego masła, filiżankę cukru, i wszystkie zebrane kozuszki, wymieszać, przykryć pokrywą, dać dobrze wystygnać na brzegu blachy. Na pół godziny przed obiadem przełożyć do nelsonki lub ogniotrwałej salaterki porcelanowej i wstawić w piec, aby się z wierzchu zrumieniła. Podawać z syropem owocowym lub konfiturami.

### KUROPATWY W MAKARONIE

W dużych miastach, gdzie kuropatwy są drogie, używa się ich przeważnie na wykwintne pieczone tylko, na wsi, gdzie myśliwi dużą ich ilość naraz zabijają, każdy nowy sposób ich przyrządzania mile jest witany, gdyż nic tak prędko nie nuży jak zwierzyna. Trzy kuropatwy, zawinięte w dosyć grube (na pół centymetra) plasterki słoniny, udusić jak zwykle, gdy już gotowe, do tłuszczy, w którym się duszą, wsypać dwie łyżki mąki, zasmażyć, rozprowadzić szklanką rosołu, lub wody i drugą szklanką dobrej, kwaśnej śmietany. Kuropatwy wyjąć i ostudzić. Ugotować w wodzie z solą pół kilo włoskiego cienkiego makaronu, (spaghetti) — lub też makaronu domowego zrobionego z pół kilo mąki i dwóch jaj całych. Piersi z kuropatw wykrajać; pokrajać po trzy plastry z każdej strony. Resztę mięsa oskrobać jaknajdokładniej z kości, usiekać drobno wraz ze słoninką, w której były zawinięte kuropatwy, zmieszać z paru łyżkami tartej bułki i połową sosu od kuropatw.

Nelsonkę lub płaski rondel wysmarować masłem, wysypać bułeczką, kłaść rzędami makaron, ów farsz i plastry kuropatw. Ostatni powinien być rząd makaronu. Polać na to pozostałą połowę sosu, posypać bułeczką zmieszaną z ostrym serem, skropić masłem i wstawić na pół godziny w piec. Podawać w tym samym naczyniu, po zupie, zamiast pasztetu, lub na kolację, jako główne danie. Można też w taki sposób zużyć pozostałe od obiadu kuropatwy, o ile były da wane w śmietanie i tego sosu dosyć pozostało, gdyż farsz z sosem właśnie stanowi o smaku tej potrawy.

### ZUPA Z KUROPATW (Marie Louise).

Ugotować rosół, biorąc na dwa litry rosołu kilo mięsa, dużą marchew, mniejszą pietruszkę, średnią cebulę i po kawałku selera i pora. Mięso z rosołu użyć na sztukę mięsa, paszteciki lub pierożki z masłem czy ze słoniną, sam rosół użyć na zupę zwierzynową. Dwie kuropatwy, (można użyć takie, co rozbite strzałem, na pieczone się nie nadają) udusić zawinięte w plasterki słoniny. Jednocześnie pół szklanki kaszy perłowej ugotować w paru szklankach wody, dodać łyżkę masła i dusić, często wybijając drewnianą łyżką, aż się zupełnie rozklei. Mięso z kuropatw zdjąć, usiekać jaknajdrobniej, kości zalać rosołem i gotować jeszcze z godzinę na wolnym ogniu. Mięso tłuc w miedzianym aż się zrobi równa masa, poczem przetrzeć przez sito wraz z perłową kaszą do rondla, rozprowadzić rosołem, osolić do smaku. Dwa żółtka rozbić z pół szklanką słodkiej, kremowej śmietany, wlać do zupy, grzać, wciąż ubijając trzepaczką, aż się mocno rozgrzeje i zgęstnieje, jednak nie dawać się zagotować. Podawać z drobnymi pasztecikami, grzankami z serem, lub długimi paluszkami z francuskiego ciasta, kto lubi, może dodać do tej zupy, dla zaostrzenia smaku, białego pierzu lub gałki muszkatołowej. *Pani Elżbieta.*

## KORESPONDENCJE DZIAŁU PRAKTYCZNEGO

**Dzidzia z nad Warty.** Ptaszek z Nr. 3 Bluszcza może być wykonany w cieniach ciemno-granatowych i szarych z dodaniem w grzebieniu i skrzydełkach ponsowego i złota.

**Stałej czytelniczce Bluszcza p. Ir. S.** Myśl ukończenia kursów freblowskich bardzo dobra. O adresy takich kursów w Krakowie i w Warszawie — niech Sz. Pani zwróci się listownie do Ministerstwa Oświaty — Wydział szkolny

**Fani M. M. ze Szczucina.** O ile etola świeża, fasonu szala tak dziś wszechwładnie panującego, a na który krety specjalnie się nadają, naturalnie nosić ją można. Jeżeli chodzi o zmianę fasonu trzeba zwrócić się do kuśnierza, krety bowiem wymagają specjalnej roboty.

**Pani M. S. z Ł.** O dokładny sposób wypielęgnowania drzew cytrynowych niech Sz. Pani zwróci się listownie do pana Edmunda Jankowskiego: Warszawa, Kanonja 8.

Jako bardzo zamiłowany i światły hodowca wszelkich drzew i uprzejmy człowiek objaśni panią najlepiej.

**Pani Helenie.** Najładniejszą lampę batikowaną dostanie pani w zakładzie tokarskim B. Mierzejewskiego, Śniadeckich 12. Jest to bardzo solidna firma i ma na składzie wyjątkowo ładne batiki na drzewie.

\* \* \*

**Zawiadamiamy Nasze Czytelniczki, że jedna ze stałych współpracowniczek działu robót w „Bluszczu“ organizuje komplety haftów artystycznych. Informacje telefonicznie do 10-ej rano i od 3-ej do 4-ej pp. Telefon Nr. 273-34. Jednorazowe porady w sprawach robót.**

## OPIS SUKIEN I ROBÓT DO NR. 40

899. Peleryna balowa z welwetu koloru wina czerwonego, przybrana siwymi lisami.  
900. Suknia balowa z tafty koloru herbacianej róży, przybranie z róż z ciemniejszej georgette'y.  
901. Kostjum z paskowego kasha, przybrany haftem i futrem odpowiedniego koloru.  
902. Palto z zamszu brązowego, kołnierz fokowy.  
903. Suknia z lekkiej wełny koloru rezedowego, kamizelka biała rypsowa.  
904. Suknia z granatowej tafty, spięta złotą klamrą, falbany z georgette'y.  
905. Suknia balowa z krepy blado lila, przy staniku haft srebrny, przybranie z szenszylu.  
906. Suknia balowa z jedwabiu koloru szmaragdowego, przybrana futrem i haftowanymi trójkątkami.  
907. Suknia z fulgurante koloru ciemnozielonego, przybrana fokami.  
908. Suknia z welwetu brązowego, przybrana futrem.  
909. Paltocik ciemnobronzowy dla dziewczynki czternastoletniej.  
910. Sukienka z wełny w kratę dla dziewczynki dwunastoletniej, kołnierz białym, krawat z aksamitki.  
911. Sukienka granatowa, przybrana haftem dla dziewczynki dwunastoletniej.  
912. Paltocik dla dorastającej pani, sukno granatowe, przybranie z baranków.  
913, 914, 915, 916. Modne fasony spódnic.  
917. Wzór na ekran lub makatę, aplikacja, wielkość natur. 50 x 56 cm.  
918. Narożnik chusteczki, haft richelieu.  
919, 920, 922. Trzy serwetki pod filiżanki, wielkość natur.  
921. Narożniki chusteczki, haft richelieu.